

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Mai 1969

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

SYRENA

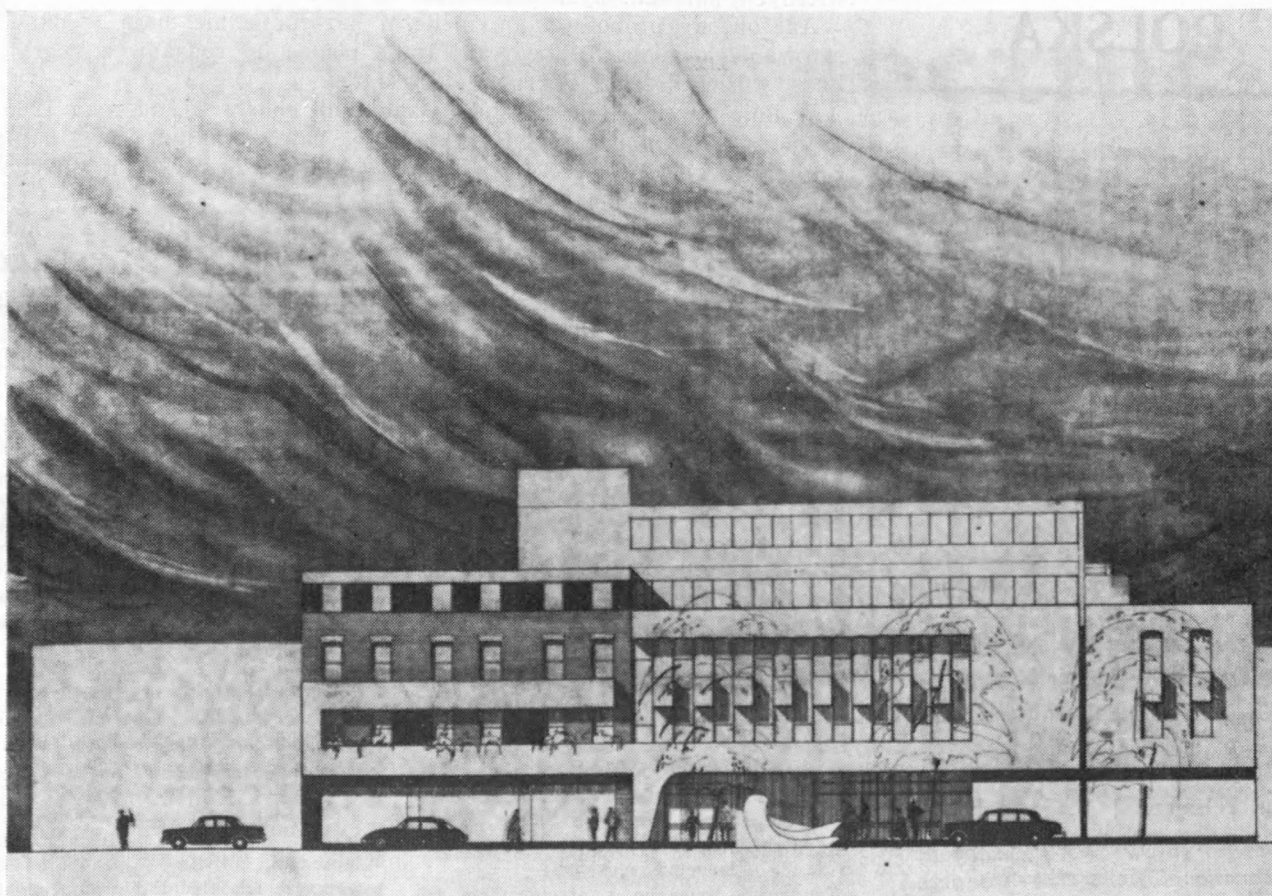
ORZEŁ BIAŁY

M A J
1969

Nr 58/1205

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



DOM POLSKIEGO OŚRODKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO,
KTÓRY STANIE W DZIELNICY LONDYNU HAMMERSMITH
I W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI DA POMIESZCZENIE
WIELU INSTYTUCJOM I ORGANIZACJOM A TYM SAMYM
STANIE SIĘ GŁÓWNA PRYZYSTANIĄ NASZEGO ŻYCIA
ZBIOROWEGO W TYM KRAJU

FP 2 156

KOŚCIÓŁ ZAMIENIONY W GETTO

MAJ MIESIĄCEM ZBIÓRKI NA OŚWIATĘ POLSKĄ

W NUMERZE:

St. B.: Rok rocznic	1
F. Chrzanowski: Nad Szprewą i nad Ussuri	2
W. Netter: Hiszpańska zagadka	3
Wergiliusz przeł. I. Wieniewski: Eneasze w krainie zmarłych	5
Kapitulacja i odwaga	6
K. Brzozowska: W nowogródzkiej stronie	8
E. Gieratowa: Monte Cassino hasłem harcerzy	10
p.h.: Przygotowanie do uroczystości na Monte Cassino	12
M. Tomkiewicz: Ewa jest zmęczona	13
F. Goldschlag: Zwyródniała muza	16
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	17
P. Hęciak: Fundacja emigracji polskiej	18
Z życia polskiego	19
W. Günther: Pokłosie wojny	20
J. Ostrowski: Tymieniecka o Leibnitzu	22
K. E.: Przeważnie dla Pań	23
Kage: Przegląd spraw wojskowych	25
W. Strzałkowski: Wspominam Mądralin	26
J. O. N.: Młodzież gra „Damy i huzary“	28
J. Korczak: Dwa dni	29
S. Lubodziecki: Sny	32
R. Praporisz: Plan P.T.	34
J. T. L.: Gawęda lekarska	36
W. Stefański: Niebezpieczeństwa postępu techniki	37
J. P. H.: Między plotką i anegdotą	38
L. B.: Nowy żywot „Merkurysza Polskiego“	40

Barokowy kościół parafialny w Bolesławcu (diecezja częstochowska), fundowany przez starostę bolesławieckiego, Mikołaja Zebrzydowskiego, niszczone. W czasie wojny Niemcy zrobili w nim getto. Po wywiezieniu więzionych w nim Żydów do obozu straceń — zamieniony został z kolei w magazyn zboża.

Po 1945 roku doprowadzono go do stanu używalności. Ks. Stroński, ówczesny proboszcz, sprawił organy i dzwony. Teraz, po przeszło 20 latach, gruntownej naprawy wymagają okna i dach. Restauracji potrzebują także freski malowane przez ucznia Matejki — Bukowskiego.

Bolesławiec posiadał kiedyś prawa miejskie, był kasztelaniami, a później siedzibą starostwa. Obecnie parafia jego obejmuje niespełna dwa tysiące wiernych, zatrudnionych przeważnie na roli.

Ani obecny proboszcz, ani liczni parafianie nie mają środków na ratowanie kościoła. Dlatego apelują o pomoc do rodaków z zagranicy. Będą wdzięczni za najskromniejszy datek.

W Bolesławcu istniał kościół od założenia miasta, tj. od roku 1266-go, najpierw drewniany, potem murowany, zawdzięczający swe istnienie fundatorowi Kalwarii Zebrzydowskiej. Niechże przetrwa i służy nadchodzącym pokoleniom przez długie jeszcze wieki!

Laskawe ofiary prosimy kierować do redakcji naszego pisma z hasłem na kopercie: „BOLESŁAWIEC“.

REDAKCJA

LISTY DO REDAKCJI

PRZEKŁAD NIE JEST SZTUKĄ ANI LATWA ANI MAŁA

Prof. Ignacy Wieniewski przełożył z greckiego mało znany poemat i wydał go pt. „BÓJ ŻABIOMYSI“.

Sztuka przekładu należy do szczególnie trudnych i niewdzięcznych. Rezultaty zazwyczaj rozczarowują, często nawet irytują. Istnieją granice, których nie zdola zwycięsko przekroczyć żaden tłumacz, nawet nie — Wyspiański lub Tuwim.

Każdy język posiada i zazdrośnie kulturu swoje właściwości i dziwa. Jest dumny z monopolu pewnych określeń i pozwala z nich korzystać obcym tylko w oryginalnym brzmieniu. Każdy czytelnik natrafił na nie, każdy próbował przyswoić je własnemu językowi.

Trudności związane z przełożeniem pojedynczych słów potęgają się, gdy zabieramy się do całych zdań, stronic i ustępów. Nawet najpospolitsze, bezpretensjonalne, z pozorów, powiedzenie, oświadczenie i zauważenie ulega przeobrażeniu w obcym języku. Każdy bowiem pisarz większego formatu wykuwa swój własny styl z ogólnego kamieniołomu. I na tym polega jego indywidualność. Styl jednostki jest językiem w obrębie języka.

Tłumacz, zabierający się do dzieła, czyni to w nadziei, że uda mu się ułożyć materiał tak, jakby to uczynił sam autor, gdyby się do tego dał nakłonić, a wczuł się dobrze w język tłumacza. Pozostaje to jedynie pobożnym życzeniem. Już sztuka bowiem przekładu codziennej, prozaicznej rozmowy wymaga nielada zręczności. Proza, wbrew powszechnemu mniemaniu, posiada swoistą, bardzo delikatną strukturę, której skopiowanie pozostawić należy mistrzom.

Przekład poezji jest albo uczciwym plagiatem, dokonany przy solidnej pomocy słownika albo próbą wyczarowania natchnienia, odpowiedzialnego za prawzór, tj. za plon poetycki autora. Niestety, środowisko, w którym ta transformacja się odbywa jest odmienne i stąd konieczność rażącego retuszu. Następnie, naśladowca czy uczeń czarnoksiężnika nigdy nie posiada jego magii i znajomości wszystkich zakłęb. Czasem traci władzę nad niebacznie przywołanymi duchami i staje się igraszką w ich swawolnych i złośliwych rękach.

Nasi wielcy tłumacze — można policzyc ich na palcach: Hemar, Sakowski, Wieniewski, Wittlin — podobnie jak inni towarzysze ich niedoli biorą na siebie rolę żywego zwierciadła. Tylko miast wiernego odbicia subtelności wizji poetyckiej ofiarowują jedynie rodzaj echa, nieraz wierne i urzekającego, ale kierującego się własnymi prawami.

Porównać można ten proces do wymiany ludzkiej miłości. Tłumaczenie jest również aktem oddania się, może wręcz namiętności. Gdy tłumacz zawodzi skutkiem nieskromności, przesady lub zamąconego odczuwania, partner wychodzi oczerniony lub skarykaturowany. Gdy spełnił chlubnie swe zadanie, model jest pochlebiony, czasem wysublimowany.

Powyższe uwagi pochodzą od psychologa, nie od filologa. Nie czytałem greckiego oryginału i pozostawiam zawodowym krytykom ocenę dzieła Wieniewskiego.

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

PRZED dwudziestu pięciu laty na polach bitewnych żołnierze polski, zarówno ten walczący od kilku lat na zachodzie, jak i ten, zorganizowany w najtrudniejszych warunkach w podziemnej konspiracji, w okupowanym i terrorem rządowym kraju stanął w obliczu rozstrzygających zmagani wojennych.

Zdawało się — i to była nasza idea przewodnia — że te krwawe i ofiarne wysiłki, które rozstrzygnęły o losach wojny spełnią i nasze cele, przywrócą prawdziwą wolność Polsce, przywrócą jej niepodległy i niezależny byt, zapewnią jej prawa i należne granice zarówno na zachodzie jak i na wschodzie.

Slogan, rzucony przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, że „Polska jest natchnieniem świata“ — przyjmowali wtedy żołnierze walczący jako hasło realne w ucziwej grze, jakby jeden z zasadniczych realnych warunków, jak ongiś w latach 1917-1918 znane 14 punktów prezydenta Wilsona.

W tym więc roku swych srebrnych jubileuszowych obchodów, w ćwierćwieczu znanych dziś w historii świata, a w szczególności w naszych dziejach wojennych — bitew i kampanii skrzykną się znów, zatrąbią hasło „zbiórka“ starzy żołnierze.

Ci z walk o Monte Cassino, Falaise i Arnheim na zachodzie, bitew, rozpoczynających dalsze zwycięskie kampanie w Italii oraz we Francji, Belgii i Holandii, ofiarnej pracy wojennej dwu naszych korpusów, rzetelny wkład Polski Walczącej od 1939 roku w obronie niepodległości i niezależności własnej i całego świata, walki na rzecz ogólnego zwycięstwa.

Jest to równocześnie 30-ta rocznica, gdy Polska — jako państwo i naród — stanąć musiała do walki samodzielnie z olbrzymią przewagą napastnika.

Polskie „nie“ rzucone Hitlerowi, poparte zbrojnym oporem rozpoczyna drugą, pięć lat trwającą wojnę światową, która dopiero po wejściu do niej największych potęg całego świata zakończyć się mogła zwycięstwem.

Samodzielna kampania wrześniowa nie miała żadnych szans — bez natychmiastowej pomocy naszych aliantów. Stwierdziła jednak raz



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 58/1205

MAJ, 1969

Rok XXIX

ROK ROCZNIC

jeszcze w naszych dziejach, że powiedzenie „tout peut etre perdu — sauf l'honneur“, rzucone kiedyś w równie beznadziejnej walce — jest nadal i być musi Polski drogowskazem.

Po tej samodzielnie rozegranej kampanii nie wszystko zostało przebrane.

Odrodziły się na zachodzie polskie siły zbrojne — wojsko, lotnictwo i marynarka wojenna a udział ich w pięcioletnich tragicznych i wydawać się mogło nieraz beznadziejnych walkach przyniosły chlubę naszemu orężowi, podkreślane były z największym uznaniem w komunikatach wojennych aliantów.

Udział polski w fatalnie rozegranej przez innych bitwie o Francję, a po tej klęsce rzetelny i tak ofiarny wkład naszego lotnictwa, naszych myśliwców i bombowców w „Battle of Britain“, stały udział naszej marynarki wojennej w bitwach morskich i przy wypełnianiu innych ważnych zadań stanowi na pewno również słuszny tytuł do naszej dumy z dobrze spełnionego obowiązku.

Polska nie istniała terytorialnie, istniała prawdziwie, reprezentowana — jak żadne z innych podbitych państw — na polach walk na lądzie, w powietrzu, na morzach i oceanach.

W historii światowej po raz pierwszy należało zanotować, że państwo podbite, barbarzyńskim terrorem dwustronnie objęte i zdławione — potrafiło mimo to i to natychmiast po zakończeniu samodzielnej

kampanii wrześniowej — stworzyć najpotężniejszą w Europie armię podziemną.

Znak A.K. wryty na murach całej Polski mówił prawdę. Polska nie uległa, weszła chwilowo w podziemie, by 1 sierpnia 1944 roku — a więc przed obchodzonym dziś dwudziestopięciuleciem — bić się znów, jakże samotnie i ofiarnie w swej stolicy, skazanej na zagładę, w lasach i gdziekolwiek to było możliwe.

Czy jest do pomyślenia, by te w takim wielkim skrócie ujęte wydarzenia mogły być zapomniane, mogły być dziś nie wspominane zarówno przez ich uczestników jak i przez ich synów i córki, przez następne pokolenia?

Siły zbrojne Polski odrodzonej powstawały zaledwie przed 50-ciu laty. Improvizowane nieraz, zorganizowane w oparciu o formacje ochotnicze 1-szej wojny światowej: Legionów i P.O.W., Korpusów Wschodnich, Dyw. Syberyjskiej, Odeskiej, Murmańcyków, kilku dywizji Armii Błękitnej, uczestników powstania Wielkopolskiego i Powstań Śląskich stały się ramieniem zbrojnym Rzeczypospolitej. Wojna lat 1918-1920 zespoliła je, ujednoczyła. Wypracowano własną doktrynę, rozszerzając stale i ciągle wiedzę wojskową.

Szkoły wojskowe wszystkich broni, szkoły lotnicze i marynarki wojennej pracowały, wyzyskując zarówno własne doświadczenia wojenne jak i krzystając i dostawiając myśl wojskową innych. Najwyższa uczelnia obchodząca w tym roku

(Dokończenie na str. 2)

NAD SZPREWĄ I NAD USSURI

Dzień 2 marca br. był szczególnie niepomysłny dla Związku Sowieckiego i jego prestiżu. Na oddział straży granicznej przy Ostrowiu Damiąńskim nad rzeką Ussuri napadli znieścacka Chińczycy i — jak ogłoszono w Moskwie — zgotowali Rosjanom prawdziwą rzeź. Prasa sowiecka podała, że w następstwie napaści poniosło śmierć 31 strażników, przy czym większość z nich odniosła początkowo tylko lekkie rany, ale została przez Chińczyków zamordowana kolbami karabinów i pchnięciami nożem. „Prawda“ pisała, że ci, którzy nie zginęli od razu, bronili się do ostatniego ładunku, po czym wyczerpawszy amunicję, popełnili samobójstwo. Doniesiono też o okrutnym okaleczeniu zwłok poległych żołnierzy sowieckich.

W dniu drugim marca nie było jeszcze wiadomo, czy w najbliższym czasie powtórzą się tego rodzaju starcia na granicy dwóch mocarstw komunistycznych. Wiadomo było natomiast, że piątego marca odbędą

się nad Szprewą w Berlinie Zachodnim wybory nowego prezydenta Niemieckiej Republiki Federalnej i że Kreml wyborom tym stanowczo się sprzeciwił. W Moskwie wołano, że jest to prowokacja i grożono najcięższymi konsekwencjami. Pod naciskiem Moskwy rząd NRF gotów był nawet zrezygnować z wyborów głowy państwa w Berlinie i przenieść je do innego miasta za cenę jakiejś znośnej umowy z władzami NRD w sprawie przepustek. Napiętą atmosferę rozładowała nie przewidziana przez nikogo wiadomość o rzezi ad rzeką Ussuri oraz o gwałtownej wymianie obelg jaka zaraz po tym nastąpiła między Moskwą i Pekinem. Dla całego Zachodu stało się jasne, że ten, kto jeszcze wczoraj groził w Europie, poczuł się nagle sam zagrożony w Azji. W rezultacie do żadnego porozumienia w sprawie przepustek berlińskich nie doszło, wybory prezydenta odbyły się bez żadnych incydentów, a elektorzy powrócili z Berlina do domu równie bezpiecznie jak wyjechali.

* * *

Zbieżność obu wydarzeń: rzezi nad rzeką Ussuri i wyborów prezydenta NRD nad Szprewą stworzyła sytuację, która ośmieszyła politykę sowiecką i jej kierowników. Okazało się bowiem, że Kreml, który przed drugim marca oskarżał Zachód o imperializm, a NRF o prowokacyjne tendencje odwetowe, zmienił z gruntu taktykę i kazał swemu dyplomatycznemu przedstawicielowi w Bonn skarżyć się przed rządem NRF na chińskich prowokatorów i na ich wielkomocarstwową politykę szowinizmu i awanturnictwa. Podobne polecenia otrzymali dyplomaci emisariusze Moskwy winnych stolicach zachodnich. Wyszło więc na to, że przed rządami państw kapitalistycznych jedno mocarstwo komunistyczne oskarżało drugie mocarstwo, również komunistyczne, o zbrodnie, przypisywane zazwyczaj kapitalistom i imperialistom.

Na temat rozmowy jaką 2-go marca ambasador sowiecki Carapkin przeprowadził z kanclerzem Kiesin-

gerem ukazało się sporo artykułów i komentarzy w prasie NRF. Nie bez satysfakcji zwrócono uwagę, że wskutek sowieckiej demarche zagadnienie Chin zostało włączone do rozmów niemiecko-rosyjskich. Przypomniano też słowa ministra Brandta, że „trzeba będzie kiedyś znormalizować stosunki z Chinami“. Pisząc na ten temat boński korespondent „Die Welt“ wyrażał przekonanie, że nawiązanie oficjalnych stosunków między Bonn i Pekinem będzie możliwe, ale dopiero po zakończeniu wojny wietnamskiej i po osiągnięciu w tej sprawie porozumienia między NRF i Stanami Zjednoczonymi. Równocześnie inne dzienniki zachodnio-niemieckie i zagraniczne podawały, że w czasie rozmowy z Kiesingerem Carapkin nie tylko potępiał szowinistyczną politykę Pekinu, ale ostrzegał także NRF przed zbliżeniem z Chinami. Jak było naprawdę — trudno stwierdzić. Faktem jest jednak, że w prasie NRF nie zaprzestano propagandy za ożywieniem stosunków gospodarczych z Chinami i podkreślono, że w imporcie chińskim NRF już obecnie zajmuje drugie miejsce, zaraz po Japonii.

* * *

Nie brak opinii, że Sowiety dały się zaskoczyć Chińczykom nad Ussuri, gdyż zlekceważyły reakcje jakie w Chinach wywołał zeszlóroczny najazd państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Reakcje te były bardzo wymowne i świadczyły, że Pekin śledził z największą uwagą i niepokojem aspekty zarówno wojskowe jak i polityczne akcji podjętej przeciw Czechosłowacji. Już 21 sierpnia 1968 r. pekiński „Dziennik Ludowy“, dając do zrozumienia, że Moskwa mogłaby dopuścić się podobnej agresji wobec Chin, pisał: „Ponieważ rewizjonistom sowieckim udało się zmobilizować kilka państw Paktu Warszawskiego przeciw innemu państwu członkowskemu Paktu — to należy zapytać się co mogłoby im przeszkodzić w utworzeniu innego ugrupowania celem popełnienia nowej agresji skierowanej tym razem przeciw państwu

50-lecie swych narodzin — Wyższa Szkoła Wojenna — była szczytowym osiągnięciem tych prac.

Ze skromnej — wobec potężnych armii Wielkiej Koalicji i rozbiorczych państw — Kompanii kadrowej Polska zmobilizowała w 25 lat potem, w roku 1939 wspaniałą armię, siły zbrojne, które stanęły samodzielnie bez pomocy innych — pomimo istniejących sojuszów — w obronie niezależności państwa i jego honoru.

W obronie prawa do niepodległego bytu całego narodu. Nie upadł on pomimo przegranej kampanii, żył nadal walcząc na polach bitew całego świata i we własnym kraju.

Rok 1969 — jest rokiem ich rocznic. Z uroczystości, zorganizowanych z tych okazji zaczerpniemy siły dla dalszych prac naszych, dla nas tych z „Polski Walczącej“, dla całego narodu i kraju, skazanego na życie pod sowieckim jarzmem, państwa satelity.

St.B.

wspólnoty socjalistycznej? — Wielkie zaniepokojenie Pekinu ujawniło się także w trzech notach przekazanych sowieckiemu chargé d'affaires między 28 sierpnia a 16-y wrzesnia. Chińczycy skarżyli się w tych notach, że w związku z wydarzeniami w Czechosłowacji sowieckie samoloty wojskowe 29 razy naruszyły chińską przestrzeń powietrzną.

Po najeździe na Czechosłowację Chińczycy znacznie zostrzyli oskarżenia pod adresem Rosjan. Zaczęto ich nazywać nie tylko rewizjonistami, ale także socjal-faszystami, socjal-kolonistami i socjal-imperialistami. Dnia 16 września agencja Nowe Chiny oświadczyła, że ludy Związku Sowieckiego są coraz bardziej przekonane o konieczności nowej rewolucji we własnym kraju i że pragną obalenia kliki będącej u władzy.

Przypominając wszystkie te fakty na łamach „East et Ouest“ publicysta francuski Jean Laforêt ujawnił również, że po sierpniu ubiegłego roku w Chinach nastąpiło nowe rozlokowanie wojskowych sił lądowych i powietrznych, które przerzucono na granicę ze Związkiem Sowieckim. W tym samym mniej więcej czasie — dokładnie pierwszego października — chiński minister obrony Lin Piao oświadczył, że armia ludowa powinna zajmować się obroną kraju, a nie rewolucją kulturalną lub dyktaturą proletariatu.

Czy w Moskwie zlekceważono te doniesienia? Faktem jest, że miarodajne źródła sowieckie nie tylko zarzucają Pekinowi politykę szowinistycznego awanturnictwa wielkomocarstwowego, ale coraz częściej określają chińską partię komunistyczną, jako ugrupowanie, które nie ma nic wspólnego z komunizmem. Nie ma w tym chyba nic dziwnego. Gdy komuniści zamiast zgodnie łączyć kapitalistów wymieniają złorzeczenia między sobą — cierpi na tym nie tylko marxistowski *savoir vivre*, ale również światowa rewolucja.

Feliks Chrzanowski

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO“

WACŁAW NETTER

B.D.I.C

HISZPAŃSKA ZAGADKA

SYSTEMY dyktatorskie tym się między innymi różnią od ustroju demokratycznego, że zmiany zachodzące na szczycie władzy odbywają się tam w tajemnicy przed opinią publiczną. Decyzje, dotyczące państwa i najwyższych stanowisk zapadają w ukryciu przed obywatelami, którzy dowiadują się o nich już po fakcie. Żadna dyskusja czy też ścieranie się różnych poglądów nie może mieć miejsca, a wszelkie sprzeciwy są niedopuszczalne. Cenzura, jedno z wielu ramion władzy dyktatorskiej, okrywa płaszczem tajemnicy wszystkie wydarzenia, a prasa i radio mają zakneblowane usta. Z gazet rządowych łatwiej dowiedzieć się można o tym co dzieje się na drugiej półkuli niż na własnym podwórku.

Taki okres swej historii przechodzi obecnie Hiszpania. Rząd wprowadził stan pogotowia w całym kraju, dając władzom bezpieczeństwa nieograniczone wprost uprawnienia. Cenzura zniesiona przed kilku laty została znowu przywrócona.

Rośnie nastrój niepewności i mnożą się jak najfantastyczniejsze domysły i pogłoski. Nikt nie wie, czy stało się to na skutek burzliwych demonstracji studenckich w Barcelonie, Saragossie i Madrycie, czy też w związku z możliwością ustąpienia głowy państwa i dotychczasowego władcy, gen. Francesco Franco Bahamonde. Dwa pytania pasjonują obecnie Hiszpanów i zaprzętają umysły polityków światowych. Pierwsze: czy gen. Franco, dyktator kraju od lat 30-tu poda się obecnie do dymisji, i drugie: o ile tak, to kto będzie jego następcą.

CAUDILLO

By lepiej naświetlić stosunki obecne musimy cofnąć się do lat trzydziestych. W kwietniu 1931 roku król Alfons XIII-ty opuścił Hiszpanię na skutek zwycięstwa żywiołów republikańskich w wyborach municypalnych. Po jego wyjeździe proklamowana została Republika i uchwalona nowa konstytucja, na mocy której na czele Hiszpanii stanął

prezydent Alcala Zamora. W 1936 roku odbyły się powszechne wybory, w których Front Ludowy, to jest koalicja ugrupowań lewicowych, odniosła zwycięstwo nad partiami centrum i prawicy.

W następstwie tego wybuchła wojna domowa, która trawiła kraj w przeciągu trzech lat i spowodowała około miliona strat w ludziach i olbrzymie zniszczenia materialne. Na czele opozycji stał gen. Franco. Po rozgromieniu sił republikańskich i zakończeniu krwawych zmagania stał się on rzeczywistym władcą kraju i głową państwa. Generallissimus Franco liczy dziś lat 76. Trzyma się na ogół dobrze, cieszy się znośnym zdrowiem i nie okazuje objawów zmęczenia długoletnią władzą i ciężarem odpowiedzialności. Ukazały się, co prawda, w prasie doniesienia, iż cierpi on na chorobę Parkinsona, tj. organiczną chorobę nerwów, lecz nie wiadomo jak daleko jest ona zaawansowana. O ile chodzi o stan umysłu to przedstawia się jeszcze lepiej niż stan fizyczny. Gen. Franco zachował żywą inteligencję, zdrowy rozsądek, trzeźwość umysłu i szybkość orientacji, a więc wszystkie cechy wymagane od polityka i męża stanu. Nie wygląda na to, iż śpieszy się z przekazaniem władzy. Prawdopodobnie pozostanie głową państwa, dopóki siły mu na to pozwolą i dopóki nie upewni się, że kandydat wyznaczony przez niego na następcę poprowadzi Hiszpanię utartym szlakiem.

To prawo mianowania swego następcy zarezerwował sobie generał Franco jeszcze w 1947 roku. Nikt właściwie nie wie, czy Caudillo powziął już swą decyzję czy też nie. W czasie ubiegłych lat wiele zmieniło się w całym świecie, włącznie z Hiszpanią. Zrobiła ona duży krok naprzód, gdy chodzi o postęp gospodarczy. Nastąpiło też znaczne poszerzenie zakresu swobód obywatelskich. Od stycznia 1967 roku obowiązuje nowa Konstytucja, która przewiduje parlament (Cortes), złożony z części z posłów mianowanych, z części z delegowanych, a z części z wybieranych w powszechnym gło-

sowaniu. Obecny Cortes składa się z 564 członków. Z tej liczby 33 wchodzi doń z urzędu. Są to ministrowie, rektorzy uniwersytetów i Akademii, przewodniczący najwyższych trybunałów, cywilnego i wojskowego. 124 posłów jest mianowanych bądź przez głowę państwa osobiście, bądź też przez organizacje rządowe Falangi. Dalszą grupę w liczbie 292 stanowią delegaci syndykatów robotniczych, organizacji zawodowych i samorządów. 104 członków nowego parlamentu pochodzi z bezpośrednich wyborów, po dwóch z każdej prowincji Hiszpanii.

Jest to duży postęp w stosunku do stanu poprzedniego i świadczy o postępie w kierunku demokratyzacji i większego udziału społeczeństwa w życiu politycznym kraju. Konstytucja przewiduje również Radę Stanu, naczelny organ doradczy złożony z 17 członków, z czego 7 mianowanych przez głowę państwa, a 10 przez Cortes. Zadaniem Rady jest również wyznaczenie następcy, gdyby gen. Franco umarł nagle lub zaniemógł przed mianowaniem swego następcy. Ma być nim osoba krwi królewskiej, praktykujący katolik, który dobro Hiszpanii stawia ponad wszystko. Gdyby proponowana osoba była za młoda do objęcia urzędu, Rada wyznaczy Regenta, który będzie pełnił obowiązki głowy państwa do czasu pełnoletności kandydata.

DWIE KANDYDATURY

Monarchiści hiszpańscy są wyraźnie podzieleni na dwa obozy. Część z nich popiera syna Alfonsa XIII-go Don Juana, księcia Barcelony, żyjącego obecnie na wygnaniu w Portugalii. Jest on konstytucyjnym i pełnoprawnym następcą i winien, ich zdaniem, zasiąść na tronie. Większość jest jednak innego zdania. Twierdzi ona, że jest on nieprzyjaźnie nastawiony do gen. Franco, krytykował jego politykę, przebywając zagranicą zerwał łączność duchową z narodem. Dlatego następcą winien być wnuk Alfonsa Don Carlos. Mieszka on stale w Hiszpanii. Pobierał tam nauki i przeszedł przeszkolenie w akademiach wojskowych jak też i w ministerstwach zapoznając się z tajnikami administracji. Don Carlos żył się z obecnym systemem i jest niejako częścią ustroju. Cieszy się

też poparciem gen. Franco, w którego majątku ma swą leśniczówkę i urządza polowania. Niedawne małżeństwo z księżniczką grecką umocniło jeszcze jego pozycję. Jak podał złośliwie Daily Telegraph, Don Carlos ma tron zapewniony, gdyż ma za sobą nie tylko głowę państwa i większość monarchistów, ale przede wszystkim matkę swojej żony, królową Fryderykę, kobietę ambitną i zdecydowaną na wszystko, która nie dopuści, by kto inny zasiadł na tronie Hiszpanii.

Trudno jest dzisiaj ocenić rzeczywiste siły polityczne Hiszpanii. Od 30 lat normalne życie narodowe zostało zahamowane, a prądy nurtujące społeczeństwo nie miały możliwości wypłynięcia na wierzch.

Obserwatorzy zachodni dopatrują się istnienia trzech sił, które odegrać mogą pewną rolę w razie zmiany obecnych stosunków. Na pierwszym miejscu stoi kościół katolicki, a szczególnie młodsze duchowieństwo i niektórzy biskupi, jak biskup San Sebastian Argaya, biskup Gerony Arnau i prymas Hiszpanii arcybiskup Toledo — Vincente Taracón. Występują oni śmiało przeciw poczynaniom rządu i dopominają się o szersze prawa dla obywateli. W liście pasterskim biskup Argaya przestrzegł władze państwowe, iż niesłusznie uważają się za nieomyłne, gdy chodzi o kwestie ekonomiczne i polityczne. Sprawiedliwość społeczną osiągnąć można tylko przez ciągłe zmiany i ulepszenia struktury społecznej i instytucji narodowych. 21 lutego odbyła się przed pałacem biskupim w Barcelonie milcząca demonstracja około 300 księży przeciwko poparciu przez Konferencję Biskupów stanu gotowia wprowadzonego przez rząd.

Bardzo wpływowa i szeroko rozgałęziona organizacja katolicka OPUS DEI, odgrywa poważną rolę w obecnym systemie, w rządzie, przemyśle i szkolnictwie. Jest ona zwolenniczką powolnej ewolucji ustroju Hiszpanii w kierunku chrześcijańskiej demokracji na wzór Włoch, czy Niemiec Zachodnich. Popiera ona kandydaturę Don Carlosa, w którym widzi materiał na przyszłego reformatora i odnowiciela Hiszpanii.

Drugą grupę, zresztą wcale liczną stanowią zatwardziali monarchiści i

konserwatyści, dla których wszelka zmiana systemu jest groźbą powtórzenia się wojny domowej i wszystkich nieszczęść, jakie spadły na kraj w latach 1936-39. Nie można zresztą im się dziwić. Żyją jeszcze przecież ludzie, którzy przeszli piekło bratobójczych walk, pamiętają rzezie, w których zginęło wielu ojców, mężów i synów. Liczne rodziny do dziś opłakują swe straty. Dla nich zmiana władzy to groźba nowego wybuchu, nowej pożogi i cierpień. I chociaż takich ludzi jest wielu, to jednak nie odgrywają oni zasadniczej roli w formowaniu opinii z tego chociażby względu, że są nie zorganizowani. Najtrudniej określić jest trzecią siłę polityczną Hiszpanii. Stanowi ją lewica, elementy socjalistyczne i skomunizowane, które pracują w ukryciu i czekają na odpowiednią chwilę, by się ujawnić i pochwycić inicjatywę w swe ręce. Rzeczywiście ich zasoby ludzkie i materialne nie są nikomu dokładnie znane. Niewątpliwie mają dobrze zorganizowane kadry i pomoc z zagranicy od państw komunistycznych.

Podział jak tu podałem nie jest oczywiście wyraźny i jasny. Katolicy są na przykład zarówno wśród monarchistów jak też i republikanów, a zwolennicy demokracji nie muszą koniecznie rekrutować się z lewicy i komunistów. Wszystkie te zagadki, lub tylko część z nich rozwiążą się prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości, gdy gen. Franco zdecyduje ostatecznie odejść ze sceny politycznej i przekazać władzę swemu następcy.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

ENEASZ W KRAINIE ZMARŁYCH

FRAGMENTY Z VI KSIĘGI „ENEIDY“ *)

Po zdobyciu Troi przez Greków jeden z jej wodzów, Eneasza, uchodzi z garścią rodaków i po długiej tułaczce morskiej przybywa do Italii, gdzie z wyroku bogów ma założyć podwaliny przyszłego państwa rzymskiego. Lądują w Kumach pod Neapolem i udaje się do przybytku wieszczki Sybilli, która ma go poprowadzić do podziemnej krainy zmarłych.

Ale pobożny Eneasza podąża na wzgórze wyniosłe,
Gdzie w swym przybytku króluje Apollo, a w głuchym
[ustroniu

Grozą z niej pieczara ogromna Sybilli. Bóg wieszczki
Słucha na jej ducha natchnienie i przyszłość przed nią
[odslania.

Wchodzą w gaj Trywii-Hekaty, ku jej zlocistej świątyni.

W zboczu skalistym Kum rozwiera się wielka pieczara,
Sto do niej wiedzie wejść i sto prowadzi otworów;
Tyleż głosów tamtędy dolata, wyroczeni Sybilli.
Doszli do progów, gdy nagle dziewica głosi:

[„Wieszczzenia

Pora nadchodzi! Bóg, oto bóg!“ A kiedy tak woła,
Nagle mieni się twarz stojącej w otworze jaskini,
Wichrzą się włosy, już pierś gwałtownie dysząca się
[wznosi,

Serce zaś szaleńcem wzbiera ognistym. Postać jej rośnie,
Słowa nadludzko brzmią, bo oto owiewa ją technienie
Boga, co już nią owładnął. „Ty zwlekasz — woła —

[z modłami,

Zwlekasz. Eneju, ze śluby! A przecież dopiero się wtedy
Ten oto straszny przybytek przed tobą otworzył!“ Tak
[rzekła.

Była tam skalna jaskinia ziejąca głęboką czeluścią,
Straszna, wśród leśnych mroków i czarnych rozlewisk
[ukryta.

Żaden ptak nad pieczarą tą nie mógł przelecieć bezkarnie:
Tak ohydne wyziewy z otchłani owych ponurych
Wzwyż unosiły się aż ku samemu niebu sklepieniu.

Już wstawał świt i pierwsze promienie słońca
[rozbiły,

Kiedy rozległo się wycie podziemne i lasów wierzchołki
Zakotysały się, skowyt zaś psów napętnił omrokę:

„Znak, że bogini się zbliża. „Hej, precz stąd, precz, wy
[profani!

— Wieszczka zawoła — Opuśćcie ten okrąg gaju
[świętego!

*) „Eneida“ w nowym przekładzie Ignacego Wieniewskiego ukazała się nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, która ogłosiła na nią subskrypcję. To dzieło objętości ok. 500 stron w ozdobnym wydaniu kosztuje w przedpłacie £3. Zgłoszenia i czeki należy kierować do Polskiej Fundacji Kulturalnej, 9, Charleville Road, London, W.14.

Ty, Eneaszu, pójdź za mną i miecza z pochwy dobywaj!
Teraz odwagi ci trzeba i w piersi ducha mężnego!“

Rzekłszy tak, w otwór pieczary ruszyła co tchu, jak
[szalona,

On zaś śladem jej kroków bez trwogi rażno podążył.

Bogi, co macie rząd dusz, o cienie zmarłych milczące,
Ty, Chaosie, i ty, Flegetonie, gdzie wszystko jest głuszą,
Zwólcie mi rzec, com słyszał: niech z waszą boską
[pomocą

Rzeczy wyjawię spowite mrokami w głębiach tej ziemi.

Szli przez głuche pustkowia, w omgleniu nocnych
[ciemności,

Przez królestwo Plutona, rozłogi płone, bezludne,
Jak wędrowcy, co drogi szukają w lesie w niepewnej
Bladej poświacie księżycy, gdy Jowisz niebo mrokami
Zasnął, a czarna noc odebrała barwy wszystkiemu.
Tam, gdzie się wejście otwiera do wnętrza samego

[Hadesu,

Żalność i mściwe Zgryzoty swe leża mają i tam też
Błędnych są Chorób siedliska, tam smutna Starość się
[kryje,

Dalej Strach i Głód, zły doradca, i Nędza nikczemna,
Zjawy straszliwe; a potem jest Śmierć i znojna Udręka,
Obok brat Śmierci, Sen, i niecne serca Rozkosze,
Na przeciwnym zaś krańcu Hadesu Wojna mordercza,
Furii żelazne komnaty i szaleńcza Niezgoda,

Co zmijowy ma włos, przepleciony krwawymi wstęgami.
W środku olbrzymi, cienisty więz rozpościera konary,
Swe ramiona wiekowe, a za nim się gnieźdzą — wieść
[niesie —

Senne widziadła czeze, pod każdym liściem ukryte.
Są tam także gromady przeróżnych stworów okropnych.

Chwyta Eneasza za miecz, bo nagła trwoga go zdjęła,
Ostrze nagie kieruje ku pracującym na niego potworom,
Tak że gdyby w sam czas nie ostrzegła go mądra Sybilla,
Iż istoty te czeze w bezcielesnych się kształtach unoszą,
Byłby na nie uderzył i mieczem daremnie ciął zjawy.

Stąd wiedzie droga do wód Acherontu, rzeki w
[Tartarze.

Tam zmacona wre toń, bagnista, miotana wirami,
Która cały swój namuł wyrzuca w nurty Kocytu.

Charon straszliwy, obmierzły w swym brudzie, tam jest
[przewoźnikiem,

Stróżem tych rzek; skudłana mu broda w siwych
[kosmykach

Leży na piersi, a oczy płomienne goreją bez ruchu;
Brudna oponcza, spięta na węzeł, zwisa mu z barków.
Żerdzią popycha swą łódź, żaglami jej daje kierunek,
Tak przewożąc umarłych na rdzawej barce przez wody,
Sam już sędziwy, lecz boska to starość, krzepka i
[czerstwa.

Oto wysypał się cieniów tłum i pędził ku brzegom,
Matki, mężowie, szlachetni herosi, co śmierć ich
[dosięła,
Małe dzieci i hoże dziewczęta, zmarłe w panieństwie,
Dusze młodzieńców spalonych na stosie na oczach
[rodziców —

Niczym te roje liści, co z pierwszym chłodem jesieni
Z drzew opadają wiatrem niesione, albo jak ptaki,
Które stadami lecą znad wodnych bezmiarów ku lądom,
Kiedy zima je pędzi za morza do krain słonecznych.
Stały te dusze błagając, by przewieźć je zaraz przez
[rzekę,

Ręce wraz wyciągały w tęsknocie za tamtym brzegiem,
Ale żeglarz posępny to jedne przyjmował to drugie,
Inne odtrącał i nie dał się zbliżyć do piasku wybrzeża.

Rzeczce Sybilla: „Patrzysz na tonie Kocytu i Styksu.
Ciężba dusz, które widzisz z tej strony, to cienie
[nieszczęśne
Niepogrzebanych, a tamte, co miały pogrzeb, przewozi
Charon. Bowiem nie wpierv jest im dane przebyć zle
[wody,
Dobić do brzegów straszliwych, aż spoczną w ziemi ich
[kości.

Sto błakają się lat, polatując nad tym tutaj brzegiem,
Zanim sążone im jest pożądaną rzekę przepłynąć.“

Wstrzymał swe kroki pobożny Eneasze w myślach
[pograżon,
Żalem zdjęty nad duszy człowieczej losem okrutnym.

KAPITULACJA I ODWAGA

Artykuł ten ukazał się 3 kwietnia w tygodniku Związku Pisarzy Czeskich „LISTY“, tuż przed ponownym wprowadzeniem cenzury prasy.

* * *

DLA narodu, w którego świadomość klęski, kapitulacje, nadużycia władzy i zdrady, jak w Konstancy, Lipanach, pod Białą górą, w Monachium i wielu innych miejscach, wryły się mocniej niż zwycięstwa (które zresztą były w większej mierze moralnymi zwycięstwami niż podbojami); dla narodu, który czerpał swoją wolę życia więcej z oporu niż z ekspansji i który broni się przed robieniem bohaterów ze zwycięzców, ciemnych i eksploatorów, dla takiego narodu odwieczny dylemat lęku i odwagi, poddania się i oporu, przystosowania i niezawisłości prawdopodobnie jest bardziej realny niż dla innych.

Ponure dni marcowe sprzed trzydziestu lat, kiedy obce siły zbrojne przekroczyły nasze granice i ze wszystkich stron posuwały się w stronę Czech i Moraw przywodzą nam na myśl jednocześnie kryzys moralny, który naród nasz wtedy przeżywał. Od tych chwil — ponieważ ponure dni z jeszcze z odleglejszych czasów nikt z żyjących już nie pamięta — dylemat ten zawsze dręczy serca i umysły narodu w chwilach kryzysu.

Na scenie wówczas znaleźli się wszyscy aktorzy tragedii: Był tam uzurpator, który postanowił usunąć „ośrodek ustawicznego niepokoju“;

byli fałszywi przyjaciele, którzy okazali się zdrajcami; były wielkie potęgi, które poświęciły małe państwo dla swoich własnych interesów; byli politycy, którzy usunęli się w obliczu grożących im, nieznanym konsekwencji i tacy politycy, którzy bądź to z miejsca, bądź stopniowo poszli na służbę okupanta.

Oczywiście, nie brakło wtedy i zaścięniętych zębów i grożących pięści. Od samego początku powstał ruch oporu z ciągle rosnącą liczbą członków zarówno wewnątrz kraju jak i poza jego granicami. Nie znalazł się jednak żaden oficjalny przedstawiciel państwowy, który by wyraził wobec własnego narodu i całego świata swój „głęboki i pełny sprzeciw“ przeciwko temu, co robił uzurpator. Nie było komu zaprotestować przeciw pogwałceniu suwerenności państwowej i przeciw oczywiście łamaniu podstawowych zasad prawa międzynarodowego. Wskutek tego kryzys moralny, tego czasu stał się jeszcze poważniejszy.

Mimo oczywistego zuchwałstwa, najeźdźca postanowił dać jakieś ideologiczne uzasadnienie swojej zbrodni. Wynałazł więc fikcję, że kraj przez niego zniszczony i zajęty był w stanie upadku, niezdolny do podźwignięcia się, a przy tym odpowiedzialny za ustawiczne spiski w całym szeregu ważnych miejsc jego imperium. Oświadczał, że jego celem jest zabezpieczenie podstaw nowego, rozsądnego porządku oraz „powszechny dobrobyt, pokój“. Od-

powieź Hachy była klasycznym stanowiskiem kapitulanta — „z pełnym zaufaniem“ powierzał los narodu czeskiego w ręce kanclerza Rzeszy, bo w jego „głębokim zrozumieniu istoty narodowości“ znajdował rękojmię ocalenia swojego społeczeństwa.

Wszyscy najeźdźcy i kapitulanci ustawicznie operują kłamstwem i fałszem.

Ziemie czeskie (Czechy i Morawy) były „miejscem ustawicznych niepokoju“ — lecz ich charakter był odmienny od tego co głosiła propaganda nazistowska. Były one widownią umysłowego i moralnego fermentu w wiekach średnich; to samo działo się na tych ziemiach w latach trzydziestych i sześćdziesiątych bieżącego stulecia. Kłamstwo i wszelkie nieuczciwe lub arbitralne postępowanie Czesi odczuwali zawsze z niezwykłą siłą. Formy tego odczuwania mogą się różnić, są jednak nieodmiennie głębokie. To jest źródłem ustawicznych dyskusji o prawdzie i sprawiedliwości i to jest dowodem, jak wysoko stawia się te sprawy.

Z tej postawy wywodzi się u Czechów opór przeciw uległości, ich sentyment do demokracji oraz zdolność do wyśmiewania samych siebie. Stąd również nasz ustawiczny opór, czasem bierny, czasem czynny; jest on wyrazem naszego lęku z powodu znajdowania się wśród sąsiadów, którzy ciągle dybią na nasze ziemie. Kraj taki jak nasz jest narażony na

gniew wszelkich potencjalnych władców świata.

Już samo historyczne i geograficzne położenie Czech jest dostatecznym uzasadnieniem powstawania kryzysów i tragedii, w których ciągle odżywa dylemat odwagi i kapitulacji. Byłoby jednak błędem sądzić, iż każdy naród może się ocalić za cenę zwykłej kapitulacji wobec silniejszej potęgi. Może on trwać w sensie biologicznym. Można oglądać pomniki jego kultury i cywilizacji w muzeach; lecz naród ginie jako prawdziwie niezależna, zwarta w sobie całość. Naród czeski przetrwał, ponieważ nawet w najtrudniejszych chwilach nie zagasł w nim płomień oporu. Nie zabrakło mu odwagi.

Wszyscy dziś mówią o nierozwiązanym kryzysie politycznym w naszym kraju. Lecz pod powierzchnią tego oczywistego kryzysu kryje się głębszy i bardziej niebezpieczny kryzys moralny.

Dla społeczeństwa z taką przeszłością, jak Czechy, kryzys moralny nie jest tylko sprawą osłabionych nerwów; jest on w pierwszym rzędzie kryzysem odwagi. Występy ciemnych elementów społecznych, wybuchy hysterii, tajemne zebrania, anonimowe pogróżki, palkarstwo i gwałty — to wszystko nie jest dowodem odwagi, lecz tchórzostwa. Skala wartości, którą przykładamy do narodu i sytuacji, nie jest czymś subiektywnym. Jest to skala społecznie obiektywna i nieubłagane obowiązują wszystkich członków społeczności, nawet tych, którzy usiłują gwałtownie i desperacko jej się przeciwstawić.

W naszej teraźniejszej skali na czele idzie prawda, prawo i sprawiedliwość, a u samego dna i w powszechnej pogardzie jest kapitulacja, tchórzostwo i zdrada. Podobnie było w roku 1939. Ci, co odeszli już tak daleko, że nie mogą lub też nie chcą przyjąć tej skali, narażają się na społeczno-psychologiczną karę: kompleks niższości, który przy najbliższej okazji po temu (gdy znajdą się w grupie lub jakiejś innej sytuacji, która da im większą siłę), zamieni tchórzów w agresorów. Tak było przed trzydziestu laty.

Kryzys moralny nie dotyka jedynie jednostek wypaczonych. Kiedy wybuchnie, ogarnia cały organizm społeczny. Jego pierwszymi ofiara-

mi są ludzie chwiejni i apatyczni, bez których ani kapitulacja ani agresja nie miałyby dostatecznego punktu oparcia. Nie można się dziwić pisanym z goryczą słowom Dantego: „Niech płomień piekielne pożrą tych, co przyglądają się obojętnie w czasie wielkiego kryzysu moralnego“. Nie ludźmy się, liczba takich jednostek jest niemała. Lecz tylko niewiele z nich należy uważać za bezpowrotnie stracone.

Dopiero gdy kryzys moralny ogarnie umysły odważnych i serca walczących, dopiero gdy zaczną chwiać się przekonania i zasady, dopiero gdy podaje się w wątpliwość wartości i gdy kryzys taki przeradza się w kryzys świadomości, wtedy powstaje niebezpieczeństwo moralnej śmierci. Wtedy następuje moment, kiedy strategię zastępuje się taktyką, taktykę kompromisem i gdy kompromis przestaje być złem (w sensie masarykowym) nawet choćby dotyczył zasad i spraw wielkiej wagi. Wtedy zasady są w niebezpieczeństwie i znika „wyraźna linia podziału“ między prawdą a fałszem.

Wówczas poznanie prawdy staje się sprawą „niezmiernie skomplikowaną“. Innymi słowy, robak kłamstwa zaczyna drażyć jabłko prawdy. A ponieważ polityka jest „sztuką kompromisu“ (choć nie wyłącznie kompromisu) i ponieważ kompromis osiąga się w polityce każdego dnia, to trzeba z konieczności zostawić politykę politykom (tj. ludziom kompromisu) podczas gdy inni muszą poświęcać swój czas na „autonimiczne i krytyczne myślenie“, które, naturalnie, musi mieć na oku prawdę (nie rezygnując z krytycyzmu) i

strzeżenie jej przed ujarzaniem przez siłę.

Widzimy więc, jak głęboko ukryty jest kryzys moralny pod powierzchnią nieprzewyżzonego jeszcze kryzysu politycznego.

Jedynym lekarstwem na lęk jest odwaga, jedynym lekarstwem na kapitulację jest opór, jedynym lekarstwem na przystosowanie jest niezależność.

Brzmi to i prosto i zwyczajnie. W rzeczywistości jest to ogromnie trudna sprawa, ponieważ w grę wchodzi zarówno rozum jak i uczucia, ponieważ istnieją informacja i dezinformacja i ponieważ stoimy wobec całej skomplikowanej sytuacji kryzysu. Do tej sytuacji odnoszą się słowa Johna Kennedy'go: „Potrzeba odwagi politycznej jest dziś bardziej paląca niż kiedykolwiek przedtem“.

W okresie Monachium, w roku 1939-tym, a następnie w czasie lat wojny rozwinął się i oświadczył nami narodowy kryzys moralny. Głęboki kryzys moralny, który zaczął się wprowadzeniem stalinizmu, urósł do straszliwych rozmiarów w czasie procesów politycznych, wystąpił otwarcie w roku 1956, kiedy fałszywe wartości doznały wstrząsu, wzrastał i opadał w okresie reżymu Nowotnego, prowadził do postyczeniowego ożywienia, a następnie do odrodzenia narodowej siły moralnej w sierpniu, trwa po dzień dzisiejszy, i nie został jeszcze przewyższony. Dlatego tym bardziej niebezpieczne byłoby dziś wszelkie cofanie się i tym więcej potrzeba nam dziś tej „tej najbardziej nieprzeciętnej cnoty ludzkiej“ — odwagi.“

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starke — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE

(Fragment większej całości)

NKWD obrało Nowogródek z ludności polskiej, jak dobry ogrodnik obiera drzewo z liszek, obójtęnie i systematycznie. Uchowali się jeszcze gdzieś nauczyciele znający język białoruski, których trudno było na razie zastąpić, trochę miejscowej ludności. Uchowali się także aktorzy w Polskim Teatrze Kukiełek. Teatr ten służył — jak inne polskie teatry w tym okresie na zajętych przez Rosję ziemiach — za dymną zasłonę. Poza nią dokonywała się likwidacja inteligencji polskiej, wszystkich elementów niepewnych, wrosniętych zbyt silnie w kulturę polską, aby można było je wychować dla marksizmu.

Zresztą w tym czasie, w maju 1941-go roku, przygotowywano już nowe listy do wywożenia. Na listach tych znajdowały się obok polskich nazwisk, osiadłej tu od wieków ludności wieśniaczej — także i nazwiska białoruskie. Całe wsie miały być przesiedlone na wschód, by ustąpić miejsca przybyszom z głębi Azji.

Mimo wszystko jednak, kiedy Ewa przyjechała do Nowogródka, zaangażowana do Teatru Kukiełek jako aktorka, miasto to, a ściślej mówiąc śliczne miasteczko, nie nosiło piętna sowieckiego.

Sprawiły to może okaleczone bardzo, ale nawet szczątkami świadczące o potężnej strukturze i wiekowej przeszłości, mury zamku Giedymina. Były świadkiem, że historia Nowogródka nie zaczęła się od chwili wkroczenia do niego „czerwonej armii“. Sprawił także kopiec Mickiewicza, poważny świadek, mówiący o tym, że uczczono tu zasługi syna tej ziemi, która przez długie wieki nie wchodziła w skład Zachodniej Białorusi w ramach ZSSR. Świadczyło również muzeum Mickiewicza, domek, w którym spędził ubogie dzieciństwo, aby swym „wiekiem kłęski“ protestować na obcej ziemi przeciw ojcom tych, którzy niszczyli obecnie wszystko czego nie zdołali wytopić ich gorliwi poprzednicy.

Może sprawiło to samo miasteczko przypominające Ewie rozplanowaniem, miły Kraków. Od obszernego

rynku, przyozdobionego halami targowymi, ubożuchnymi, ale podobnymi trochę do miniaturowych Sukienic, jedna z uliczek prowadziła do Zamku, pozostałe rozplywały się gwiaździcie w dół.

Może sprawiła to wiosna, nowogródzka, wiosna. Złote w blasku słońca miasto odbijało jak klejnot od młodej zieleni okolicznych pól i łąk.

Ewa z ciężkim sercem rozstała się z matką w Brześciu, dokąd w kwietniu 1941-go roku wyjechał teatr Węgierki na gościnne występy. Zdecydowała się na rozstanie, bo pobyt jej w teatrze stawał się coraz trudniejszy. Niektórzy aktorzy bali się wyraźnie obecności żony oficera w teatrze, tym bardziej, że to ona właśnie słuchała audycji radia zagranicznego i przynosiła do teatru ostatnie wiadomości.

Jacy spragnieni byli ludzie otuchy płynącej z komunikatów angielskich świadczył fakt, że kiedy zjawiała się w garderobie po drugim akcie, maleńki pokój zapelniał się tłumem aktorów i personelu technicznego. W najgłębszej ciszy wysłuchiwali wiadomości odczytywanych z notatek.

Kiedyś jeden z aktorów, słuchając sprawozdania Ewy, zapytał z rozpaczą:

— No tak, Niemców pobije Anglia, ale co będzie z tymi?!...

Ewa ujęła lapidarnie całe zagadnienie:

— Dwaj złodzieje zawsze się wezmą za łby przy podziale łupów.

Pewnego razu bolszewicy tak przeskadzali „piłowaniem drzewa“ na fali londyńskiej, że nie mogąc nic zrozumieć Ewa pozostała dłużej aby wysłuchać komunikatu rosyjskiego, któremu nikt nie stawiał przeszkód. W teatrze powitały ją radosne okrzyki i wyrzuty „dlaczego tak późno?!“ Kiedy skończyła referowanie wiadomości, stary fryzjer teatralny rzekł z filuternym uśmiechem:

— Chyba nigdy jeszcze tylu mężczyzn nie czekało na panią z utęsknieniem...

Roześmiała się. Rzeczywiście, nigdy

jeszcze nie czekało na nią z utęsknieniem czterdziestu mężczyzn.

Po wyjściu jednak z garderoby zatrzymał ją jeden z aktorów w stroju hrabiego Almavivy z „Wesela Figara“ i zasypał wyrzutami, że naraża wszystkich pracowników teatru przynosząc te wiadomości i ogłaszając je publicznie w gmachu teatralnym. Zdecydowała zatem uwolnić teatr od swojej obecności i zaangażowała się do Teatru Kukiełek, który miał bazę w Nowogródku.

Wojna wisiała jednak w powietrzu i trzeba było z góry postanowić co począć w razie jej wybuchu. Zdecydowały, że każda na swoją rękę będzie usiłowała dostać się do Warszawy, matka sama, Ewa z Moniką. Tak się rozstały — po raz pierwszy od września 1939-go roku. Matka wyjechała z teatrem do Mińska, Ewa do Nowogródka.

Teatr Kukiełek mieścił się w rynku, w budynku specjalnie przystosowanym do tego celu. Kilka sztuk było opracowanych, w próbach była „Lampa Aladyna“. Zarówno artystyczny jak i techniczny personel teatru składał się, podobnie jak we wszystkich teatrach polskich w tym okresie na ziemiach wschodnich, z Polaków, w mniejszym i w większym procencie z Żydów zbiegłych spod niemieckiej okupacji. Kierownikiem artystycznym był Jarema, kostiumy i kukielki projektowała jego żona Zofia. Cały zespół pomagał zresztą przy robieniu pomysłowych kukiełek.

Ewa znalazła przyjemny, jasny pokój. Gospodyni, matka czworga dzieci, była żoną emerytowanego policjanta, aresztowanego przez bolszewików przed miesiącem i więzionego w Nowogródku.

Życie Ewy ujęte zostało w pewne normy. Chodziła na próby, wyjeżdżała z całym zespołem na gościnne występy do okolicznych miasteczek, uczyła się ról. Monika brała lekcje rosyjskiego u najstarszej córki gospodyni, która opiekowała się również dziewczynką pod nieobecność Ewy. Od jesieni Monika powinna zacząć chodzić do szkoły.

Stało się jednak tak, że Monika nigdy nie poszła do szkoły rosyjskiej.

* * *

Dzień był ciepły, słoneczny, prawdziwy dzień wczesnego lata, a raczej późnej wiosny, bo wiosna opóźniła się w tym roku. Po kilku pięknych, prawdziwie majowych dniach, spadł śnieg i w teatrze trzeba było palić podczas prób w żelaznym piecyku. Piecyk był mały, za to jego potwornie wydłużona rura ciągnęła się przez całą salę sypiąc spośród spojeń sadzę na aktorów pracujących nad „Lampą Aladyna“. Zaledwie od kilku dni gospodarowała na dobre wiosna. Bzy kwitły dopiero w czerwcu, akacje rysowały teraz swe drobniutkie listeczki na bladym niebie.

Od kilku dni trwała wojna. Dwudziestego drugiego czerwca córka gospodyni, ciemnowłosa Zosia, wpadła do pokoju Ewy z wielką nowiną:

— Mamy nareszcie wojnę!...

— Bogu dzięki — zawołała Ewa.

Ach, jak czekała tej wojny! Czekala początkowo wbrew nadziei, wbrew temu co dzienniki sowieckie wypisywały w 40-tym roku na temat współpracy niemiecko-sowieckiej: że Niemcy i Związek Sowiecki nie mają żadnych sprzecznych interesów, natomiast dużo wspólnych. Surowce rosyjskie potrzebne są Niemcom, a fabrykaty niemieckie Sowietom.

Pamiętała dobrze słowa „politruka“ przysłanego do teatru z Mińska w celu uświadomienia politycznego polskich aktorów. Mówił on o polityce zagranicznej przed wojną i podczas wojny, dał obraz działań wojennych, cieszył się z ogromnych strat w tonażu jakie ponosiła Anglia w pierwszym okresie wojny — i zakończył słowami:

— No, a teraz jest zagadnienie, który z tych dwu „gerojów“ zwycięży — Niemcy czy Anglia? A może żaden, może przyjdzie trzecia potęga, wielka i nienaruszona — i zbierze owoce tej ich walki? A moim marzeniem jest, żeby Sowiety sięgały po Gibraltar.

Ujrzawszy zdumioną spojrzenia aktorów dodał z dowcipnym uśmiechem:

— Tak, takie mam imperialistyczne marzenia...

Jasnym było dla Ewy przez cały

ten czas, że dwa imperializmy, tak blisko sąsiadujące ze sobą, muszą się w końcu zetrzeć. A jednak jeszcze na kilka dni przed wybuchem wojny, idąc wieczorem przez rynek, słyszała jak megafon krzyczał w zmierzające niebo, zakłócając spokój starych domów i usypiających ludzi, że nie należy się obawiać skupienia wojsk niemieckich nad granicą. Są to tylko ćwiczenia, nie mające nic wspólnego z działaniami wojennymi.

I mimo to wybuchła wojna. Nie ulegało wątpliwości, że bolszewicy zostali zaskoczeni. Niemcy do tego stopnia potrafili uspić ich azjatyką podejrzliwość, że — jak słyszała Ewa — wieczorem, w przeddzień rozpoczęcia działań wojennych, wpuszcili na dworzec w Brześciu nad Bugiem transportowy pociąg niemiecki. Wczesnym rankiem obsługa pociągu i ukryte w wagonach oddziały opanowały z łatwością dworzec, otwierając drogę wojskom niemieckim, które nie potrzebowały uciekać się do bombardowania.

Wypadki potoczyły się szybko. Dywizje sowieckie, stacjonujące na przyłączonych terenach, zostały rozbite przez zaskoczenie. Wszystkie lotniska zbombardowali Niemcy w pierwszych dniach, nawet nie ukończone jeszcze lotnisko koło Lidy. Zginęły tam setki ludności cywilnej, spędzonej na przymusowe roboty.

W Nowogródku powstała panika. Wszyscy sowieccy urzędnicy uciekli w pierwszym dniu wojny w kierunku Mińska. Uciekinierzy żydowscy usiłowali także umknąć przed „nowym porządkiem“ Hitlera, ale przez granicę przepuszczano jedynie ludność pochodzącą z terenów dawniej przyłączonych do Rosji. Na szosach powstała kotłownina. Bombowce i myśliwce niemieckie spuszczały się nisko ponad drogi i siały śmierć. Milicję, która uciekła wraz z urzędnikami, zawrócono od granicy. Powracała na wózkach chłopskich, przerażona i pokorna.

Ewa miała pełną satysfakcję. Przez dwa lata szydził z ucieczki Polaków, a zwłaszcza oficerów polskich w 1939 roku. Teraz zaś umykali sami, mimo że nie byli wzięci w dwa ognie, jak wówczas Polska.

Ucieczki próbowała również żydowska część zespołu Teatru Kukielek. Jaki był ich los — nie dowie-

działa się Ewa nigdy. Słyszała tylko, że na szosie w kierunku Mińska znaleziono zniszczony bombą, pusty samochód teatralny.



* * *

W drugim dniu wojny przelatywały jeszcze nad Nowogródkiem sowieckie samoloty. Później nie widziano ich już wcale. Natomiast bombowce niemieckie krążyły bezustannie lecąc nad Mińsk, który bronił się zaciekle. Koło Mołodeczna stworzyli Niemcy rygiel i wycofująca się armia sowiecka zaczęła miotać się bezsilnie, nie mogąc wyjść z pułapki. Przez Nowogródek przepływały teraz niedobitki. Szli głębiej, bez żadnego szyku, najczęściej bez broni i głodni, pytając o drogę do Mińska.

— Cisza przed burzą!... — mówiła z niepokojem gospodyni Ewy wychodząc raz po raz przed dom, żeby spojrzeć na lunę bijącą w niebo od gorejącej Lidy.

Potem przyszło bombardowanie. Jednego dnia bomby burzące, w dwa dni później — zapalające. Mickiewicze miasto nie miało szczęścia. W dniu bombardowania wiał silny wiatr, który roznosił płomienie. Drewniane domki stawały się w ciągu kilku minut płonąca żagwią i gasyły po chwili jak spalona zapalka. Prawie całe śródmieście zostało spalone. Ostały się tylko murowane domy, osmolone i pozbawione okien, jakby oślepe nagle. Samoloty niemieckie zniżyły się i siekły z karabinów maszynowych po ulicach.

Burza przeszła. Bolszewików nie było, Niemcy nie nadchodzili. Ludność miejska i mieszkańcy okolicznych wsi wyruszyli na rabunek sowieckich fabryk i magazynów. Po upływie dwóch dni nie zostało nic w upaństwowionych sklepach prócz nowych podręczników dla szkół powszechnych, zredagowanych w myśl ideologii komunistycznej. Tych nie chciał nikt brać, nawet na rozpalkę.

Ludność żydowska, bardzo liczna w Nowogródku, oczekiwała w twarde najbliższej przyszłości.

Wreszcie pewnego ranka, kiedy Ewa okopywała ziemniaki, wpadła do ogródka starsza córka gospodyni, Hanka, wołając:

— Mamy gości w Nowogródku!...

„Gośćmi“ byli Niemcy.

Krystyna Brzozowska

MONTE CASSINO

(FRAGMENT)

SKAUTING baden-powellowski jest wielką grą. Tak się składa bieg wypadków, tego wymaga nasze uczestnictwo w życiu polskiej społeczności w diasporze, że w roku 1969 hasłem wielkiej gry harcerskiej jest MONTE CASSINO, obojętne czy kto pojedzie do Włoch czy nie, czy jest zuchem w Argentynie, siwowłosym harcerzem w Australii, matką już nie całkiem polskich dzieci w Kalifornii, członkiem kręgu starszoharcerskiego gdziekolwiek na świecie, zaprzyjaźnionym z...??? hippisowo-beatnikowo-??? poszukiwaczem-brodaczem w sandałach. W sandałach jak benedyktyńskie, jak nasze dawne obozowe, przez które przesypane się nagrzany słońcem piasek, ciepło ciała naszej matki-ziemi.

W SYMBOLICZNYCH sandałach z Mickiewiczowskim kijem pielgrzymim, ruszajmy na harcerską wędrówkę i tropienie. Całe grono instruktorskie, grono kierownicze, od zastępowych i rady drużyny począwszy, na wysokich władzach londyńskich skończywszy. Wynikiem poszukiwań będzie odnajdywanie, długowiecznych, a nawet ponadczasowych i nieśmiertelnych, korzeni Drzewa Życia, które stale pnie się ku słońcu, a soki ciągnie głęboko z łona ziemi, nawet gdy pokryte jest ono gruzami lub suchym piaskiem pustyni. Czerwone maki, co roku od nowa radujące oko, niechże nam upiększają wiosenne ścieżki. Wiemy jednak, że kwitną krótko, tracą czerwień przy zasuszeniu, nie ostoją się wiatrom, mrozom ani upałom. Głębszych niż makowe trzeba nam korzeni.

JEŚLI poważnie traktujemy 1-szy punkt Prawa Harcerskiego o służbie i o sumiennym spełnianiu obowiązków, nie poprzestaniemy na ciekawej wycieczce do Włoch, na uroczystościach religijno-patriotycznych i westchnieniu nad grobami tysiąca poległych, którzy Bogu oddali duszę, ziemi włoskiej ciała, a serce Polsce. Oni to sprawili, że Monte Cassino jest bliskie sercu polskiemu, że w 25-lecie ich zwycięstwa i śmierci, wielu byłych żołnierzy i członków ZHP spotka się na historycznym wzgórzu, gdzie 2-gi Korpus Polski wywiesił biało-czerwoną flagę na zdobytych ruinach klasztoru benedyktyńskiego.

NIE byłoby jednak gorącej polskiej czerwieni na ziemi włoskiej,

gdyby ośrodki jak Monte Cassino i całe pokolenia mnichów przez 15 wieków nie pracowały nad szerzeniem i utrwalaniem wartości, będących rdzeniem i korzeniem naszej kultury chrześcijańskiej, zachodniej, śródziemnomorskiej, która wyznacza kierunek wzrostu i jednoczenia się ludzkości.

SIĘGNIJMY w dalszą przeszłość niż rok 1944, kiedy to 142 latające fortece amerykańskie w dniu 15.II. zbombardowały opactwo benedyktyńskie, „to the dismay of the civilized world“ (New Catholic Encyclopedia, vol. 9, McGraw Hill Inc. 1967). I kiedy, w dniu 18 maja, flaga polska nad gruzami przyniosła upragnioną ciszę. Cofnijmy się do końca piątego wieku, gdy w mieście Nursja urodził się statecznym Rzymianom syn Benedykt i córka Scholastyka. Etapy życiowe Benedykta wyznacza Rzym, Subiaco i Monte Cassino, gdzie spisał swą sławną regułę zakonną i gdzie umarł, prawdopodobnie w roku 547. Ale duch jego nie znał ograniczeń czasu i przestrzeni, toteż wędrówka po tropach benedyktyńskich obejmować może geografię i historię całego świata, zainteresowania i powołanie każdego człowieka. Nie ma bowiem i nie będzie sytuacji życiowej, w której nie sposób byłoby realizować wezwanie: „Módl się i pracuj“, tak aby we wszystkim był Bóg uwielbiony. Nie zdarzył się w historii okres, w którym nie trzeba by służyć bliźnim niosąc im „krzyż, pług i książkę“, pomnażając — lub choćby tylko przechowując w okresach wojny i zagłady — wartości duchowe i moralne, dobra cywilizacji, produkcję materialną począwszy od żywności, oraz wartości kulturalne sztuki i nauki.

DLA spełnienia swego powołania, w każdym miejscu i epoce, człowiek musi sobą kierować. Benedykt spisał wskazówki dla swych braci zakonnych w postaci REGULY, która stała się podstawą monastycyzmu zachodniego. Łączy ona praktyczne szczegóły codziennego życia z ogólnymi prawami przyrody, a więc

i psychiki ludzkiej. Potrójne śluby benedyktyńskie, to: stałość. Odmiana obyczajów, ześrodkowanie życia, działalności, w odróżnieniu od rozproszenia, przypadkowości. Posłuszeństwo. Warto zauważyć, że większość późniejszych zakonów wprowadziła na pierwsze dwa miejsca czystość i ubóstwo, ograniczając też pojęcie posłuszeństwa do formalnego stosowania przepisów, podczas gdy duch benedyktyński jest niezmiernie wolny, pomaga rozwijać osobowość i uzdolnienia każdego członka zespołu, przypisując właściwą dlań rolę w ramach zjednoczonego, lecz zróżnicowanego organizmu, jakim jest każdy klasztor benedyktyński.

POSŁUSZEŃSTWO, to szukanie woli Boga i wspólnego dobra, w wybranym miejscu. Na ogół nie wstępuje się „do Benedyktynów, ale wyraźnie do danego domu. Współżyjąc z przyrodą, domy benedyktyńskie wyrastały jak drzewa, na różnej glebie, w różnym klimacie, dostosowując swą pracę do warunków i potrzeb. To samo słońce zapewnia każdemu drzewu życiodajną energię, wyznacza kierunek wzrostu. Ale miejscowa gleba i klimat decyduje o wielkości i kolorze liści, o rocznym cyklu kwitnienia, owocowania, snu. Zarówno męskie jak żeńskie fundacje benedyktyńskie rozprzestrzeniły się po Europie od VI wieku. W Polsce wczesnopiastowskiej, Benedyktyni osiedlili się w Tyńcu, Mogilnie, Płocku, Lublinie i na Łysej Górze. Długo przed obecną epoką dialogu, w krajach niechrześcijańskich niosły tubylcom uniwersalne wartości humanistyczne, nie wiążąc swej służby bliźnim nie tylko z rzymską organizacją kościelną, ale nawet z koniecznością przyjęcia chrztu. Zanim papież Jan XXIII zdecydował „przewietrzyć Watykan“, Benedyktyn Bede Griffiths, w żółtej szacie buddyjskiego mnicha, odprawiał Ofiarę w języku malajalam, w indyjskiej prowincji Kerała. Wspaniały rozrost liczby, sława uniwersytetów, nie przeszkodziły domom prawdziwie benedyk-

HASŁEM HARCERZY W R. 1969

(G A W E D Y)

tyńskim w utrzymaniu plastycznych form, zgodnych z istotnymi celami i praktycznymi wymogami życia. Pozostały wolne od balastu zbytej centralizacji i sztywnej organizacji. Poszczególne domy są niezależne, nie podlegają formalnie żadnej wspólnej władzy, tylko przez siebie wybranemu przeorowi i lokalnemu biskupowi. Utrzymują jednak ze sobą żywą wymianę myśli, nie tylko w epoce słowa drukowanego lub przekazywanego elektronicznie, ale i w dawnych czasach, gdy pisane zwoje listów wędrowały pieszo lub konno od klasztoru do klasztoru. Całe zgromadzenie radowało się lub smuciło odczytywanymi wiadomościami, dopisywano swoją kronikę, i zwój wyruszał w dalszą drogę. Jak polski KULIG karnawałowy, od dworu do dworu... Aby radować się w gronie przyjaciół. Bo we wspólnej radości i smutkach, w wymianie, w obiegu wszystkiego co wartościowe, przejawia się nasza miłość wzajemna, miłość i radość stworzenia, przez które Stwórca ma być uwielbiany.

CZASY św. Benedykta — upadek cesarstwa rzymskiego, Wandale, Goci, Ostrogoci, Wizygoci, Lombardowie, św. Patryk w Irlandii, chrzest króla Franków Klodwiga (Clovis) w Boże Narodzenie 496 (pięć wieków przed chrztem Mieszka). Odoaker, Teodoryk, Tetila, Belisarius, Cesarz Justynian — zdmuchnij kurz z encyklopedii, poszperaj. Zrozumiesz, czemu klasztory benedyktyńskie przez całe wieki stanowiły wyspy pokoju i ładu w morzu chaosu, zgiełku, nieszczęść. Monte Cassino nie leżało na odludziu, lecz na ruchliwym szlaku Via Latina, w połowie drogi między Rzymem a Neapolem. Nie oszczędziły klasztoru wojny i pożogi, trzęsienia ziemi — ale powstawał z gruzów. Reguła benedyktyńska była odpowiedzią na ból świata, urodziła się i żyła wśród szczyku oręża, gdy dorobek wieków i pokoleń niszczał z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej. Do Ciebie, Panie, płynął głos nie skargi i nie jęku, lecz siedem razy dziennie, i w

nocy, wznosił się skandowany rytm psalmów, OPUS DEI.

Każdy klasztor benedyktyński, oprócz cel mieszkalnych dla mnichów i kaplicy z oratorium, zawiera bibliotekę, obszerne pomieszczenia gospodarcze, dom gościnny. Do dziś dnia Benedyktyńskie starają się choć w części produkować swą żywność, pracą rąk i głów zarobić na swe utrzymanie (wyroby artystyczne, piśmiennictwo, drukarnia, przetwory rolne, rękodzielnictwo).

W RÓŻNYCH krajach i różnych czasach, zespoły benedyktyńskie podejmowały wiele różnych prac, zawsze jednak na poczesnym miejscu stawiając gościnność, wedle zaleceń Reguły. W powodzi ogłoszeń hoteli i campingów, czego szukamy dziś w gościnie benedyktyńskiej? Modern man lacks silence, order, prayer, peace, himself — słyzy się często. Zagoniony człowiek współczesnych miast szuka pokoju i ładu w ciszy i pięknie przyrody, a w harmonii pracowitego benedyktyńskiego żywota znaleźć może szczęście i radość.

Ewa Gieratowa

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyźtych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

WOLNE OD OPLAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE

ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W.7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW i GRYF PUBLICATIONS LTD

z a w i a d a m i a j ą ,

że ukazała się w związku z 25-leciem walk Żołnierza Polskiego we Włoszech niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e :

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W.7.

Przygotowania do uroczystości na Monte Cassino

Dnia 31 marca br. przyjął gen. W. Anders w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie przewodniczącego Komitetu Ogólnego gen. Z. Szyszko-Bohusza oraz członków Komitetu Wykonawczego Obchodu 25-tej rocznicy bitwy o Monte Cassino w składzie: gen. B. Duch — przewodniczący, ppłk. J. Berek — przewodniczący komisji trwałych pamiątek, ppłk. L. Gnatowski — przewodniczący komisji finansowej, P. Hęciak — członek komisji propagandowej, T. Krasoń — członek komisji organizacyjnej, S. Soboniewski — przewodniczący komisji organizacyjnej i Z. Szadkowski — członek komisji organizacyjnej. Na specjalne zaproszenie Komitetu w posiedzeniu wziął również udział artysta-grafik Feliks Fabian.

Na wstępie przedstawił gen. Duch w ogólnych zarysach gen. Andersowi prace przygotowawcze wykonane przez Komitet w ostatnich miesiącach. Sprawozdanie to uzupełnił prezes S. Soboniewski, który przedstawił program trzydniowych uroczystości sierpniowych we Włoszech. Uroczystości trwać będą od 13 do 15 sierpnia. W zasadzie główna koncepcja tych uroczystości została przez Komitet Wykonawczy dokładnie opracowana i nie ulegnie już większym zmianom. Zatwierdził ją również gen. Anders. Komitet Wykonawczy jest w stałym kontakcie z licznymi organizacjami w Anglii i poza Anglią, a przede wszystkim z lokalnym Komitetem Organizacyjnym w Rzymie, który z pełnym rozmachem przystąpił już do realizacji różnych projektów. Nie potrzeba podkreślać, jak ogromna i jak odpowiedzialna jest to praca.

Uroczystości rozpoczną się dnia 13-go sierpnia (środa) audiencją publiczną dla Polaków u Ojca Świętego w jego rezydencji letniej w Castel Gandolfo. Będzie to pierwsza wielka próba sprawności organizacyjnej, albowiem trzeba będzie z Rzymu przewieźć ponad tysiąc młodzieży harcerskiej i co najmniej tylu — albo jeszcze więcej starszych uczestników uroczystości. Po powrocie z Castel Gandolfo delegacja Komitetu złoży wieniec przed Pomnikiem Nieznanego Żołnierza w Rzymie. W godzinach wieczornych odbędą się w Rzymie różne spotkania koleżeńskie w ramach dawniejszych oddziałów bojowych.

Dnia 14 sierpnia — jak referował dalej prezes S. Soboniewski — przewiduje się krótki odpoczynek w godzinach przedpołudniowych, natomiast w godzinach popołudniowych odprawiona zostanie w polskim kościele św. Stanisława uroczysta Msza św., zakończona poświe-



ceniem i odsłonięciem tablicy pamiątkowej ku czci wszystkich polskich żołnierzy, poległych w walkach o wolność w latach 1939 do 1945. Fundatorem tablicy jest SPK.

Główne jednakże uroczystości przypadają na dzień 15 sierpnia. W godzinach przedpołudniowych delegacja Komitetu Obchodu złoży wieniec na cmentarzach alianckich — amerykańskim, brytyjskim i francuskim. O godz. 17.15 przybędzie gen. Anders, który w samochodzie przejedzie wzdłuż szpaleru utworzonego na drodze wiodącej na cmentarz Monte Cassino. Najpierw wzdłuż szpaleru utworzonego z pocztów sztandarowych i młodzieży harcerskiej — po jednej stronie, następnie po drugiej stronie drogi, gdzie stać będą żołnierze różnych formacji bojowych 2-go Korpusu oraz — przy samym plateau — zagraniczni i polscy goście honorowi. Po zapaleniu znicza przez gen. Andersa, ks. biskup Wł. Rubin odprawi uroczystą mszę św., po której wygłosi gen. Anders krótkie przemówienie w języku włoskim do narodu włoskiego oraz po polsku do swoich dawniejszych podkomendnych i młodzieży harcerskiej, która złoży ślubowanie, przejmując jednocześnie symbolicznie tradycję walk żołnierza polskiego o wolność. O zmroku odbędzie się apel poległych, zakończony odśpiewaniem hymnu narodowego. Oto najgłówniejsze zarysy tych wiel-

kich uroczystości, które na pewno odbiją się szerokim echem we wszystkich polskich skupiskach na całym świecie. Uzgodnienia wymagają już tylko drobniejsze sprawy, nad czym bez przerwy pracuje Komitet Wykonawczy.

Z kolei ppłk. Berek przedstawił gen. Andersowi wzory pięknie zaprojektowanych medali: medalu głównego, projektu Andrzeja Bobrowskiego. Medal ten nabywać będzie można w odpowiednim czasie w odlewie złotym, srebrnym lub brązowym. Płk. Berek przedstawił również żeton złotowy dla wszystkich uczestników uroczystości, wzór stempla pocztowego, który przybijany będzie na wszystkich listach czy pamiątkowych pocztówkach nabywanych w czasie uroczystości, wreszcie projekt portretu gen. Andersa w szytchu wielkości pocztówki — także do nabycia w odpowiednim czasie. Pan F. Fabian przedstawił znakomity i niezwykle efektowny projekt afisza, który wydrukowany będzie w kilkudziesięciu nakładzie i rozesłany na cały świat. Afisz zawiera główne symbole harcerskie oraz symbole formacji bojowych 2 Korpusu. O organizacji wycieczek mówił T. Krasoń. W przygotowaniu są plany wycieczek lotniczych, kolejowych i samochodowych. Jest już ponad 500 zgłoszeń indywidualnych z W. Brytanii, nie licząc około tysiąca samochodów, których właściciele jadą na własną rękę. Jest także ponad 1.000 zgłoszeń harcerzy i harcerek — jak podał Z. Szadkowski, z czego z samej W. Brytanii około 660, z Kanady ok. 200 oraz ze Stanów Zjednoczonych, Brazylii, Australii, Francji, Belgii, Niemiec, Szwecji i Szwajcarii. Uroczystościom na Monte Cassino zainteresowały się już telewizje angielska i włoska.

(p.h.)

**ZBRODNIA
KATYŃSKA**
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową
WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

**THE CRIME
OF KATYN**
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

EWA JEST ZMĘCZONA

„TCHÓRZ!“, powiedziała Ewa, kiedy podała jej zawinięte w gazetę kwiaty. „He-he-he“, zarechotał głupekowatym śmiechem. Wąskie pasczki warg otworzyły się szeroko nad dużymi równymi zębami, brązowymi od tytoniu. „He-he, zaostrzona czujność obywatelska, wróg jest wszędzie, wiesz jacy są ludzie, mogłoby dojść do Wandy. Nie było się kiedyś tchórzem, nie było, któż to lepiej wie niż ty, kochana“, powiedział, i ostrożnie, żeby go nie widzieli z ulicy, zasunął firanki z kremowej dzianiny.

„Do Wandy? Ona cię w tej chwili najmniej obchodzi“. Ewa rozsunęła firanki, na złość jemu, na złość sobie, na pewno lepiej, żeby nikt go u mnie nie widział, i tak dosyć gadania, w takiej chamsin trzeba mieć okna zamknięte, jak on boi się ludzi, komunistyczna psychoza.

Zygmunt usiadł ciężko na jedynym fotelu, którego poręcz zadygotała niebezpiecznie. „Uff, jaki żar, nie ma czym oddychać w tym przeklętym kraju“, westchnął, wachlując się nieświeżą koszulą z półksiężycami potu pod pachami, od których rozchodził się kwaśny zapach.

„Już lepiej jak milczysz, ty...“, Ewa urwała, nie skończyła, ale na jej zmęczonej twarzy ukazał się wyraz takiego obrzydzenia, że Zygmunt nie mógł mieć wątpliwości, co chciała powiedzieć. Wzruszył ramionami, rozłożył bezradnie ręce, białe, o długich palcach, piękne ręce, grał całkiem dobrze na pianinie, nawet Chopina, tak, szczególnie Chopina. Zwariowała na punkcie tego kraju, nie można słowa krytyki, obraża się o byle co, pomyślał, piersi Marceli, ciało Marceli, brunatne, pokryte złotawym puszkciem, cudowny kociak, jak dobrze kiedy nie trzeba mówić, bez problemów. Przeszedł go dreszcz, przyjemny, palce zagięły się nad Marceli pierś; poprosił o herbatę, w taki żar najlepiej odświeża szklanka świeżej herbaty z cytryną. I wstaw te kwiaty do wody, zaraz zwiędną, tak trudno o porządne kwiaty w tej zapadłej dziurze.

Ewa poszła do kuchni, kwiatów nie zabrała, leżały na stole, pyszne, czerwone, rumieńce wstydu, a z gazety, która z nich opadła ukazując resztki przemoczonej bibulki, krzyczały wielkie litery: na wyżynie Golan 19-letni Josef Ofir zabity w pościgu za terrorystami. Nogi Ewy, bez pończoch, były spuchnięte, zaczerwieniona skóra pokryta niebieskimi hieroglifami, niebieskie sznurki, sznureczki, w szczecinie niedogolonych włosów. Co ten kraj robi z ludzi, żeby tak się zaniedbać, a była ładna, bardzo ładna, tyle lat, w lesie nie widziało się nóg, ginęły w buciorach, zawsze w ruchu, w pogotowiu. Dzielną była, ma krzyże, medale, więcej niż ja, co ja dostałem? Kopniaka w d..., kopniaka, szuje, taki Kaliszek analfabeta, jak mogło dojść do czegoś takiego, wszystkiemu winna ta ich wojna, potrzebne to było.

Zygmunt ziewnął szeroko, nastawił na siebie brzęczący wentylator, który zatrzepotał mu przed oczyma. Za oknem szarzały standartowe domki, nieruchoma na sznurach bielizna, jak wisielcy na szubienicach; na dwóch biednych drzewkach pod oknem nie ruszył się liściek, czy aby kto nie podgląda? Tu — tam łysnęła szyba, niebo kładło

się przydymionym pożarem na gęsty od gorąca zmierzch. W politurowanej skrzyni burczało bez przerwy radio, mrugając zielonym okiem. Obce słowa, rozumiane piąte przez dziesiąte, i tak mało go to obchodzi, to jakaś obsesja tutaj z tym radiem, w domu, na ulicy, w kinie, każdy słucha radia, jakby co chwila co nowego, u nas nie tak, wiadomo z góry, a W.E. trzeba w domu, cichutko, dopiero ostatnio, ech, psiakrew...

Zaczął przeglądać machinalnie karty albumu, który leżał w zasięgu ręki, na okapie niezgrabnego kominka z rudawych wyszczerbionych cegieł. Potworne maski koszmarnych ludzi, taniec czarownic, czarne niebo nad czarną ziemią, nagi olbrzym pożera malutkiego człowieczka, z bezgłowej szyi tryska krew, co to jest, jakaś mitologia, acha, czarne obrazy Goyi. Intelktualistka, pomyślał niechętnie, i odrzucił album. Na zamkniętych drzwiach wizytówka, nie moja, Kaliszko, naturalnie, zawsze czyhał, intrygował, pożarł mnie, mnie wielkiego fachowca, eksperta, ulepszenia im trzeba było robić, wzrost produkcji, wszystko zmarnowane. Drzwi, zamknięte drzwi, wynocha, fora ze dwora, i tylko tutaj, wia-

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

MARIA ROMANA CATTI DE GASPERI

De Gasperi, polityk i człowiek

Fascynująca biografia polityczna, napisana przez córkę wielkiego męża stanu, przynosi nie tylko rewelacyjne materiały do życia i działalności niezwykle człowieka, ale ukazuje, jak ten włoski kresowiec, twórca nowożytnej włoskiej demokracji chrześcijańskiej, odbudowując w niebywałym trudzie Włochy z katastrofy, w jakiej pogrążył je faszyzm, stał się równocześnie współtwórcą olbrzymiego dzieła jedności europejskiej.

Porywający obraz polityka, człowieka, katolika, który umiał godzić służbę krajowi z sumieniem, a swoje głębokie chrześcijaństwo z niezależnością wobec politycznych nacisków Watykanu.

297 stron, kolorowa okładka. Cena 36s. \$5.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOVA LIMITED

27, HAMILTON ROAD, BEDFORD PARK, LONDON, W.4.

śnie dlatego, że nie chciałem. Syjonistę ze mnie zrobili! To Wanda mnie namówiła, wierząca katoliczka, do świętej Ziemi jej się zachciało, nienawidziła komunistów, wieczną panią z dworą; dosyć mam tej hecy z Żydami, nie po cie uratowałam, nie mam już sił, powiedziała. Wydaje się wieczność, 26 lat temu, otworzyła drzwi... Nie chciałem być Żydem, uwierzyłem że to nieważne, przypomnieli mi, Kaliszko, Walichnowski, Moczar, ta cała banda szubrawców.

Szybko cofnął rękę, która wyciągnęła się, żeby zasunąć firanki. Otwarte na ulicę okno razilo jak lisa. Te ich elfaty mogą rzucić bombę, usprawiedliwił strach, którym przesiąkły mokre od potu ręce, który niewygodnymi igielkami nakłuwał wilgotne niewygodne ciało. Sytuacja drastyczna, siuchty z bosem, protekcyjizm, nic nowego, okna mają oczy, Ewa nie myśli o tym, nie myśli, nie można z nią zaczynać, piskorz, wywijać się jak piskorz. Wzrok zahaczył o kwiaty, czerwone kielichy zczerniały po brzegach, zwinęły się w trąbkę, szkoda było tych kilku funtów. „Eksport gęsi wątróbek do Francji wzrasta“, przeczytał tytuł, między kwiatami.

„No i cóż ty na to, łapią we Francji wasze gęsie wątróbki, zamówili jeszcze 50 ton, 400 ludzi żyje z tuczenia gęsi, he-he-he, pomyśleć Żydz tuczają gęsi!“ — skomentował Zygmunt wielkim głosem, żeby doszło do kuchni. Musi ułagodzić Ewę; jak Ewa zacznie wykład o embargo na broń, o konieczności zatrudnienia nowych imigrantów, czy o bombach w Jerozolimie, zapomni o kwiatkach w gazecie i o tym „przeklęty kraj“, który mu się tak głupio wypsnęło. Tutaj także nie należy mówić wszystkiego co się myśli, chociaż nie pakują za to do więzienia.

„No co tam tak długo siedzisz? Tęsknię za tobą, jestem spragniony ciebie i herbaty“, popróbował z innej beczki, kiedy jego ekonomiczne wypowiedzi spotkały się z rozbrzęczonym milczeniem kuchni. Ach, te kobiety, wszystkie takie same, zawsze by chciały o miłości, słodkie słówka, wdzięczność. Mnie się odwdzięczyli! Straszne słowo wdzięczność, ale nie mogę sobie narazić Ewy,

3180
kto by pomyślał, że ona będzie moim bosem, akurat ona ze swoją filozofią czy tam inną romanistyką, a ja, najzdolniejszy student na Politechnice, inżynier z bożej łaski, no trudno, takie czasy, lepiej to niż nic, jednak załatwiła mi z miejsca pracę, mieszkanie, pomaga Wandzie... Prześpię się z nią, wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnął się do siebie, spojrzął do lustra, które odbiło miękkie regularne rysy, niebieskie oczy siwiejące na skroniach ciemno blond włosy. Jeszcze niczego sobie, nie wyglądam na Żyda, tamci zrobili ze mnie Żyda, ta chce zrobić ze mnie Izraelczyka, walczyłem o Polskę, budowałem Polskę, jak dobrze mi z Marcelą...

Zacząpały kroki na korytarzu, Ewa przyniosła na tacy dwie szklanki rubinowej herbaty; chociaż to umie, parzyć dobrą herbatę. Kilka sznytek na talerzyku, biskwity, biały ser i pomidory; zawsze to samo, nawet o kawałek szynki tu trudno. Przesiadł się do stołu, jedną za drugą wsypał do szklanki kilka łyżeczek cukru, starannie zamieszał ugryził połowę szynki. Przypomniał sobie, z pełnymi ustami przechylił się przez stół, ostrożnie żeby nie potrącić szklanek, i cmoknął Ewę w policzek. „Kochana, powiedział głębokim głosem, dziękuję ci, jesteś cudowna!“

„Dobrze, żeś nie dodał jedyna“, otrząsnęła się Ewa od wilgotnego pocałunku, i upiła łyk wrzącego napoju. Bez cukru, nie chce tyć, nie powinna, i tak serce za bardzo obciążone. Zrzuciła pod stołem wydeptane domowe pantofle, jak dobrze, obolałe stopy na zimnych kafłach. Wzięła sznytkę, ale zanim doniosła do ust — odłożyła z powrotem na talerz, zamieniła na biskwit, który bezmyślnie kruszyła w palcach. Paznokcie miała krótko obcięte, łuszczył się na nich blado-różowy lakier. Poczwała wzrok Zygmunta, szybko spuściła ręce ze stołu. Powinnam zrobić manikir, powinnam iść do fryzjera, nie mam na nic czasu, trzeba rozkręcić fabrykę, coraz nowi ludzie napływają, nie mam głowy, ciągle niepokój, Tami.

„Przykro mi, ale musisz o tym wiedzieć. Robotnice skarżą się, że Marcela nic nie robi, że podczas twojej nieobecności siada na twoim

biurku, pali papierosy i śpiewa. Były dzisiaj z delegacją, żeby ją wywalić — powiedziała ze sztucznym spokojem, unikając jego spojrzenia.

Zamrugnął oczyma, fala gorąca, fala zimna. Stało się, Ewa wie, że on i Marcela! Taki był pewny, że zachował najdalej posunięte środki ostrożności, spotykał się z nią daleko za miasteczkiem, w lasu, w zaroślach, nigdy w dzień. A może to prowokacja, napewno prowokacja. Krzaki mają uszy, znów wszędzie oczy, uszy, podejrzliwe, śledzące, co teraz będzie, może jednak nie wie, może zwykłe fabryczne historie.

„Marcela? Marcela, która to, tyle ich jest, jedna podobna do drugiej. Ahaj czy to ta z Marokką czy Algieru, czarna, już wiem, nie na darmo jest się kierownikiem pracy“. Popijał herbatę małymi łyżkami, zasłaniał się szklanką jak tarczą, patrzył w okno, w którym migotały światelka, rozjaśniając granat parnej nocy. No, niech już coś powie! Ewa milczała.

„Ech, babskie gadanie, pewno o coś zazdrosne. Nie pracuje, a kto znów tyle pracuje? U nas w Polsce mówi się, czy kto chodzi czy kto leży, dwa tysiące się należy. Ot, brakoróbstwo, przestoje dziewczucha pewno zaraziła się na odległość, he-he-he“, próbował obrócić wszystko w żart, odsunął ostatecznie, wysondować coś więcej. Ostre białe światło zakłuło w oczy, śledztwo! z warkotem przejechał samochód.

„A u nas inaczej, każdy pracuje, wie dlaczego pracuje. Między innymi także poto, żebyś ty miał dokąd przyjechać, kiedy cię wyrzucili tam u was. No, i żebyś miał odpowiedni standard życia“, dodała już z wyraźną ironią. Ale zaraz pożałowała, nie trzeba, nie można, oni są tacy przewrażliwieni, ci nowi, nic jeszcze nie rozumieją, myślą inaczej, czują inaczej; jacy są to są, ale chcemy ich, potrzebujemy, musimy im pomóc. „Cyjonut“, powiedziałaaby Tami, moja jedyna córeczka, takie jeszcze dziecko, a już na Golanie, patroluje, z karabinem w rękę. Jak jedzie się autem też niebezpiecznie, nie można się zabezpieczyć, trzeba brać życie jak idzie, nie myśleć za dużo; jak bardzo musi przeżywać śmierć Josefa, znali się od dziecka, w tej samej szkole, półtora metra od granicy syryjskiej, ta

matka... trzeba się przyzwyczaić, „Och, nie mów chociaż o stancie! Rozwojowe miasteczko! Dziura, bez kina nawet, już nie mówiąc o teatrze czy koncertach. U nas w Warszawie...“, Zygmunt zapalił się, dosiadł ulubionego konika, chińskie wazy z czerwonej laki pięknie cyzelowane, fortepian Beckera, nie pianino Bechsteina, wszystkie premiery. Mówił prędko, żeby zmienić temat, odwrócić uwagę.

Nowe słowa, nawet ich nie znam, miał, miao, był, u nas, wciąż jeszcze u nas, ale jak on się boi, jacy oni wszyscy wystraszeni, żal mi go, żal? A kto mnie żałuje, sama tyle lat od śmierci Karola, praca, obowiązki, wciąż wojna, ciągle coś nowego, zmęczona jestem, bardzo zmęczona, trzeba z tym skończyć, nie powinnam była zaczynać, niechby już poszedł.

„Już późno, wróćmy do sprawy Marceli, to trzeba załatwić, co proponujesz“, przerwała mu niecierpliwie w środku historii o „Dziadach“.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co robić? „No cóż, hmm, rób jak uważasz. Może była chora, jakieś kłopoty w domu, inne robotnice nie dużo lepsze od niej, to takie bez przekonania, dobierając słowa, dobierając wyraz twarzy.“ Nie przejmuj się tak, mizerniutka jesteś, biedulka, Ewiątka moje kochane, ta prostaczka nie warta jednej twojej myśli“, wygładził, wypolerował, zaakraglił uśmiechem, kłiwym i wymownym. Jak grymas.

„Czy ty udajesz, czy naprawdę nie rozumiesz. Co oni z ciebie zrobili! Ja mam odpowiedzialność, wobec fabryki, wobec ludzi, nie mogę dopuścić do dezorganizacji placówki pracy“, powiedziała.

„Odpowiedzialna, naturalnie, zawsze byłaś odpowiedzialna, zawsze można było na tobie polegać, jak na Zawiszy. Pamiętasz, w partyzantce, byłaś komendantką oddziału, dali ci za to kapitana po wojnie. Do bitki i wypitki, moja ty słodka. Dobre były czasy, walczyliśmy, mieliśmy nadzieję. Odbiłem cię wtedy Józkowi, nie mógł mi tego darować do śmierci, wariat bo wariat był, ale odważny, szatan, pamiętasz?“ Zygmunt objął ją niezręcznie, próbował zaciągnąć na tapczan, zatopić niedopowiedziane w sztucznie wskrzeszonym, żywe w umarłej

przeszłości, wyróżnionej bo umarłej. Ona nic nie wie, Marcela idiotka, przewróciło jej się w głowie, usta Marceli, nogi Marceli.

Odepchnęła go mocno, aż zatoczył się. Szklanka spadła ze stołu, roztrzaskała się o kamienne kafle, zabrzązował się wąż rozlanej herbaty na gruzelkowej szarości podłogi. Ewa stanęła przy oknie, tyłem do pokoju. Pod oknem chichot, więc ja jej powiedziałem, więc ona skoczyła. Zdaleka migotało samotne światło w fabryce, którą budowano za robotnicze składki, dla niego, dla Marceli, dla niej. Fabryka musi iść Boli? Że Zygmunt z Marcelą? No nie, Zygmunt nie może boleć; boli Josef, Josef boli, zginął w walce jak Józek, nawet nazywa się tak samo, tylko że ma 19 lat. Muszę pojechać do jego matki, i także na Golan, zawiozę paczkę, upiekę makowiec dla Tami, żebym tylko dostała mak, Tami lubi makowiec.

„Trochę chłodniej, przełamał się chamsin, poruszają się liście“, powiedziała patrząc w ciemność, gdzie za węglem czai się może śmierć. Trzeba się przyzwyczaić, nie ma innej rady.

„Staram się ciebie zrozumieć, staram się, naprawdę, ja przecież także byłam tu kiedyś nowa, obca, wiem, że to trudno. Przeweksłować się, odrzucić, zapomnieć, ja wiem, bardzo trudno, ale przecież musiałeś, nie miałeś wyboru. Jesteś wśród swoich, w domu, musisz zrozumieć, przyzwyczaić się, że u nas są inne miary i wartości. Przecież widzisz, my też nie mamy wyboru, zrozumiem...“ Mówiła do siebie, do niego, do migocących światełek w domach, gdzie mieszkali ludzie, gdzie cierpieli ludzie, gdzie mieli nadzieję ludzie.

Odwróciła się od okna, usiadła przy stole, wzięła papierosa z żółtego pudełka, na którym zaprężone do karocy do biegu wyrwały się czarne smukłe koniki. Papierosy Ascot, śmieszne. Zygmunt zerwał się, podał jej ognia. Jacy oni grzeczni, trzeba zebrać to szkło, można się pokaleczyć, trzeba włożyć pantofle, trzeba załatwić sprawę Marceli, Zygmunta, trzeba — leniwie laziły myśli, jedna za drugą, jak za pogrzebem, kiedy zaciągała się papierosem zachłannie, do mdłości, i nie ruszała się z miejsca.

„Grunt, że zjechała z Marceli, rozejdzie się po kościach“, myślał Zygmunt, zbierając ostrożnie rozбите szkło na gazetę. Spod przezroczystych kawałków, między okruciami, czerniły się, poruszały, gęsie wątróbki, Josef, matka, bohaterzy, zadeklarował, narzucić, postanowili, pokój, pokój, pokój...

„Niestety, pracuje czy nie pracuje, muszę jej jutro wypowiedzieć. Nie można dopuścić, żeby robotnice zawlokły tę całą sprawę do zarządu. Sam mówisz, to prymitywny element, łatwo-palny, trzeba z nimi jak z dziećmi“, powiedziała Ewa łagodnie. I szybko dodała: naturalnie, załatwię jej pracę gdzieindziej. Uważaj, żebyś się nie skaleczył“.

(...w niewygodną ciszę mieszkania z niezgrabnym kominkiem mogłaby wpaść Marcela, pobić Ewę, albo poranić nożem Zygmunta, może nawet zabić. Mogłaby też przyjść Wanda, ze łzami, z wyrzutami, rzucić Zygmunta, wyjechać do Londynu, może nawet mogłaby tam wyjść za mąż za samotnego ex-lotnika z Yorkshire. Zygmunt mógłby popełnić samobójstwo, otruć się, umrzeć od gangreny spowodowanej połamaną szklanką, albo też mógłby zbuntować się, przenieść do Ramat-Awiwu, lub załatwić sobie wyjazd do Ameryki. Ewa mogłaby dostać ataku serca, pędzi karetka pogotowia, wyje syrena, do kogo, co się stało, aha! I tak dalej. Tyle możliwości, tak mało możliwości.)

Porozmawiali jeszcze trochę, jutro przyniosę narzędzia i przybiję tę połamaną poręcz, dowidzenia, kochanie. Zygmunt poszedł do domu, do Wandy, rozglądając się naokoło podejrzliwie. Powiem, że zasiedzialem się w fabryce, Wanda przyzwyczajona do posiedzeń. Ewa zjadła pozostałe sznytki, ser i pomidora, zebrała ze stołu, włożyła kwiaty do wody, czerwone kwiaty z sennymi kielichami. Radio podało Nixon powiedział, Stewart zaprosił, i dzień pogrzebu Josefa, z wojskowymi honorami. Pojadę na pogrzeb, Tami napewno będzie, zabiorę paczkę. Wyjęła pościel ze skrzyni, posłała tapczan, położyła się. Parzyło nawet prześcieradło, którym się przykryła. Zawył pies, może szakal, bzykały świerszcze, brzęczało w uszach. Komary.

Mina Tomkiewicz

ZWYRODNIĄŁA MUZA

NAJPRYMITYWNIJSZE narody znały i uprawiały taniec. Swoje ubogie, choć niespokojne, życie duchowe starały się wyrazić za pomocą rytmicznych ruchów i znaczących gestów. Wszystkie ważniejsze wydarzenia święcono tańcami przystosowanymi odpowiednio do wydarzenia. Aby podkreślić czasem ich pierwiastek mistyczny lub wręcz religijny, przywdziewano specjalne stroje i maski. Wysoki poziom osiągnął taniec grecki. Zyskał czołowe miejsce we wszystkich donioślejszych uroczystościach i zdobył trwałe miejsce w teatrze. Z popisów tanecznych uświetniających turnieje lub bale maskowe rozwinął się w późniejszych wiekach balet.

Od czasu do czasu czytamy o zawodach tanecznych i rekordach wytrwałości poszczególnych par. Godziny a nawet dni trwają w ruchu i ekstazie, bez widocznego zmęczenia czy zapadu.

I te ekscesy nie są żadną nowością. Poza klasycznym dworskim i swobodnym ludowym tańcem znano średniowiecze pewne chorobliwe wybryki, mało mające wspólnego z regułami sztuki uznanej, budzące raczej grozę aniżeli estetyczne zadowolenie, a jednak przez współczesnych za taniec poczytywane. Niemniej jednak znaleźli się obserwatorzy, obdarzeni sceptycznym, chłodnym rozsądkiem, których słusznie uderzyła niezwykłość produkcji i niezdrowy pociąg, jaki ta sztuka wywierała na otoczenie. Jeden z najstarszych dziejopisów tego okresu, Radulfus de Rivo, nawiązuje w r. 1374 do pojawienia się w Aachen „dziwacznej sekty“. Po krótkim pobycie pociągnęła ta banda dalej do Maastricht i Lüttich, zasilana dopływem okolicznych ochotników tak, że ostatecznie reprezentowała kilkutyśięcny tłum. Pewni członkowie najezdniczej rzeszy wtargnęli do Monasteru z okazji poświęcenia kościoła, gdzie przed ołtarzem „pótnadzy z wieńcami na skroniach a śpiewem na ustach“ (seminudi sertsis capita cingebant...) „wyprawiali dzięki podrygi, skacząc na wysokość ołtarza i wyżej“. Gdy wyczerpani opadli na podłogę, tarzali się po niej, skarżąc się na gwałtowny ból klatki piersiowej. Błagali otaczających ich widzów o ciasne obandażowanie torsu, aby w ten sposób, jak twierdzili, ochronić się przed grożącą im śmiercią. Kronikarz notuje również silnie wzdęte brzuchy tancerzy i krańcowo wygięty kręgosłup.

Zdziwieni i zaniepokojeni przygodni obywatele stwierdzili, że tańcom to-

warzyły sporadyczne okrzyki i wyrzucanie niezrozumiałych, „diabelnych“ słów. Taniec mógł trwać długie godziny, nawet dni, aż opętani, powaleni zmęczeniem, wijąc się po ziemi, prosili najbliższych, aby ich tratowali i tym brutalnym zabiegiem zakończyli dalszy motoryczny niepokój wyczerpanego już ciała.

Po ukończeniu występów w Münster tłum podążył dalej, zebrał po drodze i przygarniając do swego grona różnych włóczęgów, oszustów, słowem — wyrzutków ówczesnego, zresztą bardzo barwnego społeczeństwa.

Również inna kronika, tzw. limburska, powraca do tego wydarzenia. Według niej obserwowane w r. 1374 zjawisko nie notowane do tego czasu na ziemiach położonych nad Renem i Mozela: dass leut anhuben zu dantzen und zu rasen“ (że ludzie poczęli tańczyć i szaleć). Ten szal trwał przez 16 tygodni i powtarzał się każdą letnią porą przez szereg lat.

Znacznie wcześniejsze źródła, bo z roku 1278, opisywały taniec szaleńców na moście — co ma symboliczne znaczenie — w Utrechcie. Most zawalił się i dwieście osób utonęło.

Tańce, jak na wstępie wspomniałem, służą do wyrażenia uczuć i wzruszeń. Symbolizują radość, smutek, tryumf, erotyzm itp. W każdym wypadku poprzedza je przeładowanie odcinka psychicznego różnymi uczuciami i doznaniem, co wymaga odprężenia tj. motorycznego wyładowania. Gdy pierwotna, prymitywna reakcja osiąga już wyższy stopień rozwoju, nieskoordynowane, chaotyczne ruchy przemieniają się w rytmiczne. Jako takie zyskują trwałe miejsce w rozmaitych kultach i tańcach religijnych.

Pewne choroby duszy oddziałują na ciało przez wywołanie różnych objawów jak zaburzenia czucia, spasmy, wysypki, przykurcze itp. Te niemiłe sensacje póbuje się łagodzić drogą wyładowania prężności psychicznej. Do tego służył w dawnych wiekach „taniec leczniczy“. — Nawet dzisiaj zachował ten rodzaj swój charakter wśród pewnych ludów. Obchodzą w ten sposób powodzenie, zwycięstwo, urodzaj, zwalczają klęskę i choroby. Także obawę przed demonami koi się takim tańcem. Negroidalna składowa modnych tańców nadaje się doskonale do łagodzenia napięć podświadomości.

Od niepamiętnych czasów istniał w Niemczech tzw. Sonnenwendkult, pole-

gający na tym, że, w dniu przesilenia dnia i nocy, chorych, cierpiących na padaczkę czy taniec św. Wita (chorea) grupowano do tańca w kierunku słońca. Towarzyszyli im i zdrowi, uważając, że dobroczynny wpływ słońca tego dnia jest szczególnie pożyteczny.

W chrześcijańskiej erze przemieniono „Sonnwendtag“ na „Johannistag“ i w dniu 15 czerwca kazano epileptykom i innym odtanńczyć taniec leczniczy. Jeszcze dzisiaj zapala się wieczorem tego dnia ognie naturalne i sztuczne, celem wypłoszenia demonów. Obserwowałem niedawno taki obchód na szczytach gór alpejskich z miejscowości Badgastein.

Ważniejszych chorych odsyłano nawet do kościołów i kaplic, gdzie czekali na nich płatni, zawodowi tancerze, a czasem miejska muzyka. Gorliwsi pacjenci tańczyli do upadłego, przez wiele godzin a nawet dni, aż wreszcie poddawali się wyczerpaniu. I ten wysiłek leczył ich lub powodował dłuższą przerwę w chorobie.

W sprawozdaniach o epidemicznym tańcu z r. 1374 uderza zupełna bierność kleru i władz. Zgołą odmienna postawa aniżeli stanowisko obrane przed wcześniejszym ruchem biczowników (flagellantów). Tancerzy nie prześladowano i nie uważano za kacerzy lub czarowników. Patrzono na nich, już wówczas, jako na ofiary psychicznej epidemii, określanej dzisiaj mianem masowej histerii.

Symptomatologię tej choroby można uznać za b. charakterystyczną. Tancerze znajdowali się w transie, w pół-przytomności, określanej naukowo jako „zmierzch świadomości“. Niepokój motoryczny, wykrzykiwanie, bóle opasujące, wzdęcia należą do klasycznego obrazu. Kopanie zastępywało dzisiejsze polewanie zimną wodą lub policzek, którymi to sposobami próbuje się zahamować gotujący się atak.

Nasuwa się pytanie, co spowodowało masową histerię w tych czasach? Niewątpliwie — szczególna aura tej ery, na przełomie wieków średnich i nowożytnych, wyrażająca się wzmogoną wrażliwością i drażliwością społeczeństw, nękanych plagami, konfliktem między władzą świecką a papieską, niewolą akwizgrańską, postępującym rozkładem dotychczasowych form życia, niepewnością jutra z powodu napięcia politycznego. Powodów do nagromadzenia się obaw i afektów było aż nadto. Sposób myślenia średniowiecznego człowieka po-

(Dokończenie obok)

Notatnik kulturalny

VERITAS POPIERA P.O.S.K. — taki wniosek wysnuty z przebiegu ostatniego „Spotkania“, które jak zwykle odbyło się w Instytucie Polskim. Po zagajeniu przez p. Z. Mycielską przewodnictwo objął o. dr J. Mirewicz, T.J., wskazując m.in., iż emigracja weszła w trzecią fazę swych zabiegów, a mianowicie, zabezpieczenia już nie tylko bytu osobistego, czy grupowego, ale i przyszłego życia kulturalnego. Prof. R.L. Wajda, prezes P.O.S.K. w treściwym referacie przedstawił zadania i dotychczasowy przebieg prac Ośrodka Społeczno-Kulturalnego dotyczących budowy Centralnego Domu Polskiego, zabezpieczenia zbiorów bibliotecznych i archiwalnych, oraz stworzenia ośrodka młodzieżowego. W ożywionej dyskusji omówiono sposoby osiągnięcia głównego celu, jakim jest stworzenie Centralnej siedziby dla polskiego życia społecznego-kulturalnego w Londynie. Zabierali m.in. głos pp. inż. W. Dłużewski, red. S. Grocholski, inż. O. Stepan, p. W. Winnicka, red. A. Pospieszalski, ks. dr Kołodziejczyk i mgr. Ostrowski. Kilka osób z miejsca poparło swe słowa przystąpieniem do P.O.S.K. W swej odpowiedzi prof. Wajda podkreślił m.in. znaczenie skupienia w jednym budynku głównych instytucji polskich, ważność zainteresowania projektem P.O.S.K. okazanego przez najzasobniejszą organizację polską, jak również znaczenie indywidualnych udziałów w pracy Ośrodka.

XIX WYSTAWĘ STOWARZYSZENIA FOTOGRAFIKÓW Polskich, zorganizowano w „Ognisku YMCA“, które jest od 20 lat siedzibą Stowarzyszenia. Brało w niej udział ok. 20 fotografików, wystawiających ponad 100 eksponatów białoczarnych i kolorowych. Pokazano też ok. 40 przezroczycy. Wystawa wykazała, jak zwykle, b. dobry poziom, zwłaszcza pod względem technicznym, a jej uczestnicy znowu zajęli pierwsze miejsce w turnieju między trzema najwybitniejszymi klubami krajowymi.

PROF. DR J. JASNOWSI I DR A. MICHAŁEK wygłosili na zebraniu Polskiego Tow. Historycznego wzajemnie uzupełniające się referaty. Dr Michałek przedstawił sytuację w Czechach w latach 1618-20, która po bitwie pod Białą Górą zdecydowała na blisko 300 lat o utracie przez Czechy, Morawy i Słowację niepodległości. Prof. Jasnowski przedstawił stanowisko zajmowane wówczas przez stronę polską, zatrzymując się nieco dłużej na plastycznie przedstawionej roli „Lisowczyków“, którzy podążyli wówczas na pomoc wojskom Ferdynanda II Habsburga. W dyskusji starano się uchwycić charakter, jaki przybierały stosunki polsko-czeskie w ciągu wieków. Zebraniu przewodniczył dr A. Sawczyński. Mimo niesprzyjającej pogody wieczór gromadził licznych słuchaczy.

PROJEKT POMNIKA CHOPINA w Londynie, zainicjowany w swoim czasie przez pianistkę polską prof. S. Niekraszową zaczyna nabierać rozgłosu. Do funduszu jego napływają ofiary nadsyłane przez muzyków angielskich, miejscowych i obcych, zamorskich oraz przez miłośników Chopina. Władze miejskie Londynu miały wyrazić zgodę na postawienie pomnika na południowym wybrzeżu Tamizy, w miejscu wybranym przez arch. J. Niekrasza i według projektu prezesa Towarzystwa

Brytyjskich Rzeźbiarzy p. Seana Cramp-tona. Pomnik, kosztem £9.000 ma być odlany z brązu i postawiony na cokole z szarego granitu. Odświeżenie planowane jest na dzień 17 października 1969 roku, w 120 rocznicę zgonu Chopina. Byłby to pierwszy pomnik wielkiego kompozytora polskiego w W. Brytanii.

JANINA BARANOWSKA wystawiła kilkanaście swych prac w Alwin Gallery w centrum Londynu. Są to oleje i gwaśze o charakterze na poły figuralnym. Artystka miała już kilka indywidualnych wystaw, m.in. w Galerii Grabowskiego i w Drian Gallery, i dwie wystawy w Paryżu u Raymonda Duncana. Prace jej znajdują się już w całym szeregu zbiorów w Anglii i zagranicą.

J. Ostr.

czął ulegać radykalnej zmianie. U osobników mniej odpornych na urazy psychiczne powstawała skłonność do szukania ulgi w ucieczce do zmierzchu świadomości. W czasach pogańskich i wczesno-chrześcijańskich jedynie ludzie choroby odprowadzali tańce lecznicze. W wiekach późno-średnich wystarczył widok tańczących epileptyków czy innych, aby drżemiącą u wielu histerię doprowadzić do wybuchu.

Takie masowe opętanie i ekshibicjonizm nie mogły pozostać bez niemiłego wrażenia na ludziach bardziej zrównoważonych. Bardziej krytyczni oceniali podobne zbroczenia jako opętanie, a więc chorobę duszy, którą należało leczyć właściwymi wówczas sposobami tj. egzorcyzmem.

Nie tylko zresztą wyłącznie historycy tworzyli dodatkowy zastęp tancerski. Dołączali się do nich, niewątpliwie, już zdecydowani wariaci, jak różni maniacy i schizofrenicy.

Jak dzisiejsza psychiatria wysuwa znaczenie podświadomości, aby wyjaśnić mechanizm różnych konfliktów, tak średniowiecze miało na zwołanie diabła. Do podświadomości dobiera się psychoanalizą, do diabła — egzorcyzmem. Średniowieczni terapeuci mieli nie gorsze wyniki od dzisiejszych jak wynika z dochowanego opisu leczenia pewnej dziewczeczki. Wsadzono ją do beczki z wodą i zanurzono po usta, dając w ten sposób diabłowi szansę ucieczki przez usta. Przeciętne leczenie egzorcyzmem trwało 10 dni. Kronika nie wspomina czy i jak pacjentka spędziła cały ten czas w wodzie.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“ Z E S Z Y T X V

zawiera m.in. prace:

Stefan Żeromski: NA PLEBANI
W WYSZKOWIE

Adam Ciołkosz: BRON DLA GETTA
WARSZAWY

Peter Raina: WŁADYSŁAW
GOMUŁKA

Józef Matecki: DZIENNIK DZIAŁAŃ
NIEMIECKIEJ 9 ARMII

Konstanty Rokossowski: O POW-
STANIU WARSZAWSKIM

N. Mar: SKOK.

Wspomnienia, Dokumenty, Re-
cenzje, Listy i polemiki

Cena: 30 sh. 4.00 dol.

DOKUMENTY

opracował

IWAN KOSZELIWEK

UKRAINA

1956—1968

Dokumenty o rosnącym oporze
na Ukrainie

Cena: 31 sh. 4.25 dol.

FUNDACJA EMIGRACJI POLSKIEJ

Będzie nią Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie

W CZERWCU 1963 r. zapadła na walnym zebraniu P.U.C.A. Ltd. (Polish University College Association Ltd.) w Londynie — uchwała zalecająca Zarządowi „podjęcie prac nad ustaleniem form prawnych i organizacyjnych ogólnopolskiej i społeczno-kulturalnej fundacji Emigracji Polskiej w porozumieniu z innymi organizacjami o podobnych celach. Głównym celem — jak głosiła wyżej wspomniana uchwała — winno być stworzenie warunków do powstania Polskiego Ośrodka w Londynie (Domu Polskiego) o zadaniach społecznych, kulturalno-oświatowych i towarzyskich dla obecnego i następnych pokoleń uchodźstwa polskiego w Wielkiej Brytanii“.

Od podjęcia tej uchwały upłynęło sześć lat. Jest to duży szmat czasu w ciągu którego dokonano ogromnego wysiłku organizacyjnego i finansowego, aby uchwałę tę zrealizować. A nie było to łatwe zadanie, bo najpierw trzeba było przeprowadzić żmudne korespondencje z władzami angielskimi, by zabezpieczyć prawną stronę dzieła, następnie ustalić zasady współpracy z różnymi organizacjami, przekonać je, że dzieło jest godne zaufania, niezbędne i że należy je wesprzeć pomocą finansową, wreszcie — po wieloletnich poszukiwaniach w całym chyba Londynie — trzeba było znaleźć albo odpowiedni teren na budowę własnymi siłami Ośrodka Polskiego, albo — co właśnie się stało — zakupić odpowiednie obiekty i przerobić je tak, by służyć mogły celom uzgodnionym i ustalonym w różnych statutach i uchwałach.

Produkujemy w niniejszym numerze na pierwszej stronie okładki „Orla Białego“ projekt przyszłego Ośrodka, zakupionego w zachodniej części Londynu, w dzielnicy zwanej Hammersmith, w której — według bardzo dokładnych danych statystycznych — mieszka około 33% Polaków, biorąc pod uwagę graniczący z zachodnim Londynem, północno-zachodni i południowo-zachodni Londyn. Okazuje się, że w tych trzech

zachodnich częściach Londynu mieszka około 71% Polaków z całego Londynu. Innymi słowy, Ośrodek powstaje w tej części Londynu, w której mieszka największa ilość Polaków, i tym samym stałby się pewnego dnia centralnym punktem całego polskiego życia społecznego Londynu. Jest to niezmiernie ważne zarówno z punktu widzenia komunikacyjnego jak i z punktu widzenia życia polskiego, jeśli istotnie przyszedł Ośrodek stanie się tym centralnym punktem, w którym skupiać się będą wszystkie biblioteki polskie, instytucje naukowe, centralne organizacje społeczne, będzie sala teatralna i odczytowa, restauracja.

Oczywiście, o tym wszystkim jest łatwiej napisać, a trudniej to zrealizować. Zdają sobie z tego doskonale sprawę obecne władze Ośrodka, którym od lat przewodniczy niezmordowanie prof. inż. R. Wajda. Trudno tu w krótkim artykule wchodzić we wszystkie szczegóły, zainteresowanych odsyłamy jednak do broszur informacyjnych, wydawanych regularnie przez Zarząd Ośrodka. W tych broszurach znajdują się nie tylko sprawozdania ściśle społeczno-organizacyjne, ale — co jest może ważniejsze — sprawozdania finansowe, podające wszystkie wpływy i wydatki.

Przed kilku miesiącami zakupiono kompleks budynków w dzielnicy Hammersmith za kwotę około £50.000, na pokrycie której Zarząd Ośrodka uzyskał pożyczkę bankową w wysokości £30.000 z czego £20.000 miano spłacić do końca marca br., resztę zaś w ciągu trzech lat. Pozostała część kwoty pokryto z pożyczki indywidualnej lub z innych zasobów Ośrodka. Warto może także podkreślić, iż Zarząd Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego postanowił udostępnić Ośrodkowi kwotę £10.500 w formie pożyczki, zabezpieczonej na jednym z domów Ośrodka, pod warunkiem pomieszczenia tam biblioteki Instytutu.

Jeśli się zważy, że Ośrodek posiada dziś majątek własny w postaci

9 domów, których wartość (włącznie z inwentarzem) wynosi blisko £200.000,

— jeśli się zważy, że coraz więcej organizacji (blisko 100) zapisało się na członka Ośrodka;

— że coraz więcej organizacji, na skutek własnych różnych trudności dzierżawnych czy finansowych, zwraca się do Ośrodka o przejęcie i zapewnienie im opieki (tak np. przedstawiciele Instytutu Józefa Piłsudskiego otrzymali przyrzeczenie pomieszczeń dla zbiorów Instytutu, gdyby to było konieczne);

— jeśli się wreszcie zważy, że całe społeczeństwo polskie w Wielkiej Brytanii — a są także dowody poparcia od Polaków spoza W. Brytanii — darzy zaufaniem inicjatywę założenia Ośrodka, który **musi** powstać i przed którego realizacją nie można się w żadnym wypadku cofnąć —

to mieć należy pewność, iż chyba jeszcze w tym roku, późną jesienią, władze Ośrodka przystąpią do pierwszych przeróbek zakupionych kompleksów, nie czekając nawet na możliwość zakupu posesji sąsiedniej, a mianowicie kościoła Baptystów i przykościelnej szkoły, jakkolwiek obydwa obiekty znakomicie uzupełniać będą całość nabytych kompleksów Ośrodka.

Ale na to wszystko trzeba jeszcze — poza stałym wysiłkiem organizacyjnym — wielkiego wysiłku finansowego, tym bardziej, że żyjemy w kraju, którego ciężka sytuacja gospodarcza może utrudnić realizowanie tego celu. Problemem tym zajął się także lutowy Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego, który w jednogłośnie przyjętej uchwale w jej końcowej części stwierdzał:

„Walny Zjazd apeluje do organizacji społecznych o ściśle skoordynowanie swych planów działania z P.O.S.K. i rozważenie racjonalnego połączenia w przyszłości ich zasobów materialnych z P.O.S.K., przy zachowaniu niezależności — potrze-

(Dokończenie obok)

FRANCJA

K.S.M.P. LENS

W niedzielę 9 marca br. odbyło się w polskiej sali parafialnej w Lens Walne Zebranie Stowarzyszenia KSMP okręgu Lens. Zebranie zostało otwarte przez prezeskę okręgu dr. Monikę Sosnowską, która powitała przybyłych, a mianowicie ks. J. Osińskiego, d-hnę M. Krukowską, Lutowską i J. Kasprowicza oraz delegatów. Referat na temat „Ekumenizm“ został wygłoszony przez ks. Osińskiego, po czym wywiązała się ożywiona dyskusja. Po przerwie obiadowej przystąpiono do wysłuchania sprawozdania ustępującego Zarządu oraz omówiono program prac na rok bieżący. Do Zarządu zostali wybrani: St. Woźniak — prezes, G. Garstecka — prezeska, A. M. Włoch — sekretarka, B. Mos — skarbniczka, B. Baran — Komendant.

KOŁO SPK METZ

W niedzielę 2 marca br. odbyło się Walne Zebranie Koła SPK — Metz. W zebraniu wzięło udział 18 członków. Na zebranie przybyli jako goście: p. Jurkiewicz, prezes 8-go Okręgu P.Z.K., p. Delingier, prezes POWN Koła Metz oraz p. Orzechowski, prezes KTM — Metz. Po powitaniu przybyłych kol. Wł. Krzysztoń zdał sprawozdanie z działalności Zarządu Koła za rok ubiegły. Po dyskusji i sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej zebrani udzieliłi jednogłośnie absolutorium ustępującemu Zarządowi. Do nowego Zarządu zostali wybrani: kol. Wł. Krzysztoń — prezes, J. Jaskulski — sekretarz, W. Dukiel — zast. sekretarza, M. Jaskulski — skarbnik. Do Komisji Rewizyjnej weszli: kol. Sutek, Kurek i Kurowski.

bnych dla najbardziej skutecznej realizacji zadań poszczególnych organizacji.

Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego apeluje do polskich organizacji społecznych w W. Brytanii o rozważenie pomocy kredytowych dla P.O.S.K. w chwili obecnej.

Walny Zjazd apeluje do społeczeństwa polskiego w W. Brytanii o wzmoczenie ofiarności indywidualnej na cele P.O.S.K. — w szczególności przez zapisywanie się na członków Ośrodka oraz poparcie obecnie rozpisanej subskrypcji pożyczkowej“.

Łączmy się w tym wysiłku stworzenia Fundacji Emigracji Polskiej!

Z ŻYCIA POLSKIEGO

UDZIAŁ W UROCZYSTOŚCI SKŁADANIA WIENCA

W dniu 28 lutego br. na zaproszenie ministra b. Kombatantów Francuskich, związki i stowarzyszenia kombatanckie wzięły licznie udział w uroczystości składania wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Tryumfalnym przez prezydenta Stanów Zjednoczonych R. Nixona. Przed Łukiem Tryumfalnym ustawiły się liczne poczty sztandarowe, wśród których poczty organizacji kombatanckich polskich. W uroczystości wzięło udział kol. Jan Szczepan ze sztandarem SPK-Paryż.

POSIEDZENIE RADY P.S.N.

W dniu 23 marca br. odbyło się w Domu Kombatanta w Paryżu doroczne plenarne posiedzenie Rady Polskiego Skarbu Narodowego we Francji.

Obrady otworzył prezes Zarządu PSN prof. Z. Dygat, witając przybyłych i proponując porządek obrad, który został przyjęty. Sprawozdanie Zarządu za rok ubiegły oraz sprawozdanie Komisji Rewizyjnej przyjęte zostały jednogłośnie, po czym po udzieleniu absolutorium Zarządowi uchwalono preliminarz budżetowy na rok 1969. Zebrani wyrazili jednogłośnie życzenie, aby dotychczasowy Zarząd PSN oraz Komisja Rewizyjna kontynuowały swą działalność w niezmiennym składzie w nowej kadencji. W dyskusji jaka wywiązała się w wolnych wnioskach zastanawiano się nad możliwościami i metodami oddziaływania na emigrację polską, aby nakłonić ją do żywszego brania udziału w pracach PSN i ponoszenia większych świadczeń na rzecz sprawy polskiej. Każdego Polaka stać na to, aby wpłacić 1 Fr. miesięcznie (12 Fr. rocznie) na P.S.N. co pozwoliłoby mu na bardziej racjonalne i wydawniejsze subwencjonowanie akcji tak społecznych jak i niepodległościowych.

Zarząd P.S.N. we Francji tą drogą zwraca się z apelem do wszystkich Polaków we Francji zamieszkałych, aby w drodze opłacania składek względnie w formie jednorazowej ofiary przyczynili się do wzmocnienia możliwości P.S.N., a tym samym zapewнили prowadzenie pracy polskiej na terenie Francji.

ZEBRANIE A.K.

W niedzielę dnia 9-go marca br. odbyło się w Paryżu przy udziale około 25 żołnierzy AK Zwyczajne Walne Zebranie Oddziału Koła AK we Francji. Zwołanie tego zebrania jak też zmobilizowanie jego członków zawdzięcza się inicjatywie prof. W. Wagnera, jako członka Rady Głównej.

Do nowego Zarządu zostali wybrani: kol. A. Baranowski — przewodniczący, kol. A. Tokarski — z-ca przewodniczącego, kol. J. Esmanowa — sekretarz, kol. M. Michałowski — skarbnik. Na przewodniczącego Komisji Rewizyjnej został wybrany kol. T. Wallich.

W zebraniu wzięło udział z terenu Lille kol. J. Sawicki, który został upoważniony do zwołania zebrania A.K. na terenie Lille, celem odtworzenia Koła AK w Lille.

ZEBRANIE KOŁA W LILLE

W dniu 30 marca br. odbyło się Walne Zebranie Koła S.P.K. w Lille w Domu Kombatanta w Lille..

Zebranie otworzył kol. E. Tuszewski, prezes Koła witając przybyłych po czym na przewodniczącego Zebrania wybrany został kol. Zubek. Na sekretarza Zebrania powołany został kol. Lesiuk-Szczapa. Zarząd Oddziału SPK w Paryżu był reprezentowany przez kol. dr S. Paczyńskiego, który wygłosił dłuższy referat na temat sytuacji reżymu oraz zadań na najbliższą przyszłość b. kombatantów polskich. Kol. Paczyński poruszył również sprawę obchodów na Monte Cassino, konieczności prenumeraty „Orła Białego-Syreny“, oraz sprawy Domu w Lailly en Val.

Po zdaniu przez kol. Tuszewskiego sprawozdania z działalności Zarządu Koła za rok 1968 wywiązała się ożywiona dyskusja, poświęcona głównie sprawie Domu Kombatanta w Lille, który zdaniem wszystkich mówców winien ożywić swą działalność i stać się ośrodkiem zebrań dla Polaków w Lille i okolicy.

Do nowego Zarządu zostali wybrani: kol. kol. E. Tuszewski, Sawicki, Grabowski, Samborski, Kobylewski, Zabłocki. Do Komisji Rewizyjnej: kol. kol. Rokicki, Pelka, Srocki i zastępcy: kol. Podziadło i Leszczyński. Na Przewodniczącego Sądu Koleżeńkiego został wybrany kol. Zubek.

KOŁO SPK W

-L'ARGENTIERE-LA-BESSÉE

W niedzielę 30 marca 1969 odbyło się w domu kol. Wł. Węgrzyna Walne Zebranie Koła SPK l'Argentière-La-Bessée. Zebranie zostało otwarte przez

kol. J. Dobka, prezesa Koła, który powitał zebranych i wewzwał ich do oddania hołdu zmarłym kolegom. Następnie kol. J. Dobek zdał sprawozdanie z działalności Zarządu za ub. rok, w którym podkreślił, że Koło wzięło udział w szeregu uroczystościach zorganizowanych przez władze francuskie i organizacje b. kombatanów i że cieszy się zaufaniem tych organizacji. W roku ubiegłym ubyło dwóch członków Koła kol. Chrabąszcz Wojciech (ojciec) który zmarł w dniu 18.VIII.1968 oraz kol. Chrabąszcz Jan, który zmarł w dniu 18.III.1969. Chrabąszcz Jan był żołnierzem 2 D.S.P., a ojciec jego Wojciech Bajonczykiem.

Po udzieleniu absolutorium Zarządowi, do nowego Zarządu zostali wybrani: kol. Dobek Józef — prezes, Pakura Alfred — sekretarz, kol. Krzesaj Wojciech — skarbnik. Do Komisji Rewizyjnej weszli. Węgrzyn Władysław i Kuczyński Julian.

ZEBRANIE TOWARZYSKIE

W dniu 11 marca br. salony Jockey Clubu w Paryżu zapełniły się towarzystwem polsko-francuskim, które jak co roku, odpowiada na zaproszenie organizatorów tradycyjnego coctailu, dochody z którego przeznaczone są na pomoc społeczną dla trzech instytucji polskich w Paryżu. Tymi instytucjami są klasztor św. Kazimierza, w którym znalazło przytułek i opiekę dwadzieścia kilka starszych pań bez rodzin, a w internacie przebywa 36 młodych Polek odbywających swe studia w Paryżu. Następnie Stowarzyszenie św. Wincenego, które wspiera rodziny polskie, znajdujące się w ciężkiej sytuacji materialnej i wreszcie Komitet Pomocy artystom, intelektualistom i studentom Polskim we Francji. Coctail jest organizowany przez Prezesów i Zarządy tych trzech Instytucji i cieszy się zawsze bardzo dużym powodzeniem tak wśród Polaków jak i Francuzów. I w roku bieżącym również, pomimo strajku, który w tym dniu sparaliżował całkowicie miejską komunikację w Paryżu, salony Klubu zapełniły się elegancką publicznością, która w miłym nastroju spędziła ten wieczór. W coctailu wzięło udział około 350 osób.

KANADA

AKADEMIA KU CZCI KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

Niepowetowana strata dla polskiej poezji, kultury i dla polskiego patriotyzmu najszlachetniejszego gatunku, jaką była śmierć wielkiego poety Kazimierza Wierzyńskiego, w ponad mie-

siąc po jego zgonie, odbiła się pełną czci i skupioną reperkusją na akademii w kanadyjskim mieście Toronto, gdzie Wierzyński bywał częstym i zawsze z utęsknieniem oczekiwanym gościem przez liczną torontańską Polonię.

W Muzeum Muzycznym, które jest jednym z najpiękniejszych budynków Toronto, Towarzystwo Polskiego Instytutu Naukowego w Stanach Zjednoczonych, oraz Fundacja im. Adama Mickiewicza, w ścisłej współpracy nad przygotowaniem akademii, oddało hołd Zmarłemu w dniu 16 marca. Akademię otworzył Zbigniew Grabowski, pisarz i publicysta, zarysowując w krótkim referacie twórczość Kazimierza Wierzyńskiego. Referat Zbigniewa Grabowskiego uzupełniony został przez redaktora poczytnego dziennika polonijnego w Toronto „Związkowiec” — Benedykta Heydenkorna.

Na zakończenie akademii wzruszona i skupiona publiczność wysłuchiwała wierszy nagranych na taśmie magnetofonowej głosem samego Poty, podczas jego ostatniego pobytu w Toronto.

Poza tym głęboko wzruszającym momentem, kiedy po raz ostatni szereg jego przyjaciół i znajomych usłyszało wspaniały głos Pana Kazimierza, recytującego swe najulubiętsze wiersze — o psie, „który wył do księżycy i modlił się za bezdomne psy”, o „świeraszcu zakupionym w Kordobie”, oraz o „Kawałku księżycy” — stłumione westchnienie przeszło przez salę, gdy na estradę weszły dwie młodziutkie Polki, by recytować na zmianę panoramę wierszy Wierzyńskiego od radosnych strof „Wiosny i Wina” z jego lat młodości, po paraliżujące grozą i rozpaczą strofy „Czarnego Poloneza”. W ten sposób obecni byli świadkami nie tylko poetyckiej magii słów wielkiego polskiego poety, ale i jego pośmiertnej spuścizny — umiłowania słowa i stron, o których ciężarze gatunkowym młode pokolenie emigracyjne uczy się jakże często — z tomu wierszy.

Przedstawiającym zgromadzonej publiczności poszczególnych prelegentów i artystycznych wykonawców był znany poeta polski — Wacław Iwaniuk. Władysław Buczyński wykonał dwa utwory Chopina, a znana malarka polską pani Mary Schneider czuwała nad całością imprezy.

ODCZYT LEOPOLDA TYRMANDA

W dniu 27 lutego br. w jednej z sal wykładowych uniwersytetu w Toronto odbył się odczyt Leopolda Tyrmanda, autora „Złego” oraz „Życia towarzyskiego i uczuciowego” — dla publiczności kanadyjskiej. Autor przemawiał po

angielsku, a po odczycie, również po angielsku, udzielał odpowiedzi na liczne pytania, zadawane mu przez liczną zgromadzoną publiczność. Na ogół Tyrmand skłaniał się do tezy, że obecna sytuacja świata intelektualnego w Polsce zaczyna przypominać stosunki, jakie istniały za czasów tak zwanej „nocy stalinowskiej”. Tyrman podkreślił, że w każdym z krajów sfery wpływów sowieckich odmiennie układają się warunki, pomimo jednolitości rosyjskiego planu sparaliżowania narodów podległych Rosji. Tyrmand unikał optymistycznych przepowiedni, cała jego prelekcja przepełniona była głębokim pesymizmem. Pytania zadawane przez salę dowodziły, iż publiczność kanadyjską orientuje się doskonale w zawiłych sprawach Europy Wschodniej. Leopolda Tyrmanda przedstawiła publiczności w znakomitej angielszczyźnie dr Danuta Bienkowska, wykładająca literaturę polską na uniwersytecie w Toronto.

NA WŁASNYCH NOGACH

Polscy marynarze-rybacy, o których ledwo co ucichło w prasie całego świata, jak wiemy, otrzymali wreszcie azyl w Kanadzie na okres dwóch lat.

Jakież są ich obecne losy?

Otóż 9-ciu z nich natychmiast po przyznaniu im prawa azylu, zostało z miejsca zaangażowanych do pracy w mieście Halifax. Z tych pierwszych dziewięciu, którzy otrzymali natychmiastowe zatrudnienie, sześciu przyjęło pracę na rybackich trawlerach i już wyruszyło na pierwszy rejs na wolności. Pozostałych trzech zaangażowała pewna firma budowlana. Ci, którzy opuścili Halifax, skierowali swe kroki do miasta o najbardziej rozbudowanym przemyśle — to znaczy do Toronto, w prowincji Ontario.

Za pośrednictwem polskiego dziennika „Związkowiec” wychodzącego od lat w Toronto, rybacy-marynarze, wyrazili słowa gorącego podziękowania zarówno całej Polonii kanadyjskiej, która tak życzliwie zajęła się ich losem, jak i poszczególnym organom polonijnym, które za pomocą petycji, interpelacji w parlamencie kanadyjskim i urabianiu opinii publicznej, przyczyniły się do otrzymania przez naszych rodaków prawa azylu w Kanadzie.

Dodać tu należy, że na podstawie doświadczeń z marynarzami polskimi podczas ich długiej walki o wolność w Halifaxie, Polonia kanadyjska wystąpiła ostatnio z apelem do wszystkich kanadyjskich Polaków o nadsyłanie datków na „fundusz pomocy prawnej” dla polskich uchodźców politycznych.

(Dokończenie na str. 21)

POKŁOSIE WOJNY

Pod ironicznym tytułem „Zwycięstwo“ Instytut literacki w Paryżu wydał wspomnienia H. Grynberga, których tytuł powinien raczej brzmieć: „Kłeska“. Wprawdzie bowiem alianci razem ze Sowietami odnieśli nad Niemcami zwycięstwo, ale ludzkość, ale moralność ogólna, wzajemny stosunek człowieka do człowieka i wartość życia, poniosły głęboką i po rzekomo skończoną wojnie, niekończącą się kłeskę*).

*) Henryk Grynberg „Zwycięstwo“. Instytut literacki. Paryż 1969, str. 92.

Jak się dowiadujemy, Kongres Polonii kanadyjskiej, na którego ręce miały napływać datki — otrzymał już bardzo poważne sumy na ten cel.

35-LECIE PIĘCIORACZKÓW

Właśnie mija 35 lat od chwili narodzenia się na zubożałej farmie w kanadyjskiej prowincji Ontario — naj-słynniejszej dzieci świata — pięcioraczeków — siostr Dionne.

Jakie są dzisiejsze losy słynnych dziewczynek?

Annette jest szczęśliwą żoną i matką. Mieszka w Montrealu i mało kto z jej najbliższych sąsiadów wie z jak słynnego pochodzi rodzeństwa. Maria i Cecylia mieszkają w Quebec, obie rozwiedzione i zawiedzione, nerwowe i nieszczęśliwe istoty, których najwcześniejsze lata zepsuły do szczytu luksusu, brak rodzinnego życia i ciągłe przebywanie na świeczniku, nie tyle socjalnym, ile handlowej reklamy. Yvonne, czwarta z siostr Dionne dla tych właśnie powodów wybrała życie klasztorne. Ale nie wytrzymała w nim długo. Obecnie, porzućwszy welon, uczy w anonimowej szkole, gdzieś pod Montrealem. Emilia zmarła piętnaście lat temu w zupełnej samotności podczas ataku epileptycznego.

A co się dzieje z ich rodzicami?

W bardzo już podeszłym wieku, żyją niedaleko swojej farmy w skromnym trzypokojowym domku. Państwo Dionne mieli przed pięcioraczkami i inne dzieci, które jednak dawno poszły swoją drogą i o niektórych z nich rodzice wogóle nic nie wiedzą. Zapytana przez reporterów czy czuje się samotna, pani Olive Dionne odparła ze smutkiem: „Oczywiście. Tyleśmy mieli dzieci, a jesteśmy zupełnie sami, na stare lata. Bogu jedynie dzięki, że gazety zapomniały o nas. Mamy nareszcie spokój.

Z.G.

Wspomnienia H. Grynberga, jako prześladowanego dziecka żydowskiej rodziny, są jedną z najsmutniejszych książek powojennych, nie tylko z powodu losu Żydów, zbiorowo mordowanych przez Niemców, ale także, wobec jej obiektywizmu, z powodu doli, jaka czekała wszystkich — z wyjątkiem kliki, która dorwała się do władzy — którym udało się przeżyć z powodu walki o byt w nowych warunkach, zaprawionej gorczyzą, zazdrością i niechęcią do tych co przetrwali...

Rzecz dzieje się przeważnie we wsi Dobre, w okolicy Mińska, skąd udało się uciec matce razem z siedmioletnim synkiem — późniejszym autorem wspomnień — dzięki tzw. Kennkarcie czyli „papierom aryjskim“, udzielonym jej przez litościwego miejscowego urzędnika, do jeszcze bardziej zapadłej wsi, Kończany. Mąż jej pozostał na miejscu, ukrywając się za opłatą u znajomych chłopów, a nawet u dziedzica.

Życie matki małego Grynberga w Kończanach nie było łatwe. Zarabiała jako prywatna nauczycielka, drząc stale, że ktoś domyśli się jej żydowskiego pochodzenia, więc choć wstydyła się swego kłamstwa, chodziła do kościoła i głośno chwaliła Hitlera za wykończenie Żydów, w nieustannym lęku ujawnienia się, że synek jej był obrzezany. Tym bardziej, że z Dobrego dochodziły ją najgorsze wieści: całą jej rodzinę zgładzi Niemcy, a męża ktoś niewiadomy zarąbał siekierą.

Skoro więc Niemcy wynieśli się z Polski, poczucie samotności skłoniło matkę małego Grynberga, wbrew jego woli, do powrotu do Dobrego, gdyż on „nie chciał już być Żydem“... W jej dawnym środowisku czekały ją jednak nowe zawody. Przez te dwa lata, tyle jej bliskich zginęło, albo tak się zmieniły ci co pozostali, że „nie było z kim płakać po umarłych...“ Dawni sąsiedzi i współnicy nie chcieli oddać jej własnego domu, który zajęli, tak że dopiero przy pomocy życzliwego milicjanta uzyskała możliwość zamieszkania w jednym pokoju od podwórza.

I nikt nie wiedział lub nie chciał jej powiedzieć, kto zabił jej męża, czy chłop czy dziedzic, którym się opłacał. Jedynie pocziwa żona dziedzica, choć również poszkodowana, bo dwór jej spalono, tak że zamieszkała w Mińsku, oddała jej uratowane stare przedwojenne palto i maszynę do szycia. Zresztą, wszyscy odradzali jej poszukiwania mordercy męża, bo jeśli „oskarży niewinnego to będzie z nią źle, a jeśli winnego, to może być jeszcze gorzej...“

Tymczasem warunki i poglądy zmieniły się z życiem. Dowodem trzy wesela trzech córek młynarzy Sobotków, z ukrytymi u nich b. jeńcami rosyjskimi Żydami, którzy przechrzczeni się, ożenili się z nimi po katolicku. Choć na ogół bano się zemsty powracających Żydów, za dawne ich prześladowanie, mimo, że mówili niektórzy „...co martwym pomoże zemsta...“

Z czasem, Niemców zastąpili Rosjanie. Wieś witała ich z radością i gościła chętnie. Na ogół byli to młodzi chłopcy, wynędzniali, zachowujący się spokojnie, tęskniący za domem, matkami lub żonami... Wieś obawiała się raczej polskiej milicji, a zwłaszcza tzw. partyzantów, których opisuje Grynberg: „Za Niemców było na wsi wielu takich, którzy chodzili po nocy z bronią i sprawowali władzę. Przy tej okazji załatwiali swoje porachunki z sąsiadami, rywalami i wszystkimi, których nie lubili. Sprawiało im przyjemność, że mogli decydować komu życie, a komu śmierć. Czasem wstępowali do A.K., czasami do innych organizacji, których było wtedy dużo. Kiedy potrzebowali broni, to rzeczywiście napadali na Niemców, kiedy się chcieli zabawić, napadali na chłopów lub dwory, a gdy spotkali Żyda, to żądali pieniędzy“.

W oddziałach armii rosyjskiej wieś widziała opiekę, zwłaszcza, że Rosjanie chętnie z nią współżyli. Tańczono więc razem i pito na umór, ze świadomością że to czas przejściowy, który należy wykorzystać. Istotnie podczas jednej z takich pohulanek u miejscowego chłopca, z udziałem zresztą milicji, zjawiała się jakaś wojskowa grupa, która skończyła sielanek: Rosjan i milicjantów wymordowano. Żydzi uznali, że wskazane wyjechać z Dobrego. Celem ich przesiedlenia była przeważnie Łódź!

Również i matka małego Grynberga przeniosła się do Łodzi, gdyż było to miasto nie zniszczone, a po wyjeździe fabrykantów i Niemców o wielu pustych mieszkaniach, które można było kupić od rzekomo pilnujących ich polskich żołnierzy. Znajomi z Dobrego, którzy odnaleźli się w Łodzi, zaczęli wspólnie i z korzyścią handlować.

Matka małego Grynberga oddała go do zakładu w Helenowie, powołanego do życia przez międzynarodową organizację żydowską Joint, gdzie poza dobrym utrzymaniem, jedną z nauczycielek zapaloną idealistką i marksistką, uczyła ich znaczenia i wartości kolektywu, ale gdy jej wychowawcy poczęli kolektywnie okradać magazyn spożyw-

czy, zwątpiła w prawdę swojej wiary i ... zagazowała się.

Tymczasem matka 10-letniego już Grynberga wyszła powtórnie zamąż za b. więźnia obozu niemieckiego Oskara Uszera, szczerego komunistę, wierzącego, że dopiero rządy komunistyczne nie dopuszczą do zatargów między krajami o równości społecznej i nie znającymi rasizmu więc i antysemityzmu. Zresztą, w warunkach ogólnego komunizmu państwa, a z czasem i narody... przestana istnieć. Przypuszczając, że na Zachodzie te idealne stosunki ustalą się szybciej, pragnął on wyjazdu z Polski, starając się o wizę dla siebie i rodziny, choćby do Wenezueli, gdyż w Polsce według Uszera „jak Żyd ma pieniądze, to każdy myśli, że ma prawo mu je odebrać...”

Lecz sprawy potoczyły się inaczej. Pewnego dnia zgłosił się do niego były współtowarzysz z niemieckiego obozu Żyd pochodzenia rosyjskiego, również komunistą, Rosenberg, z propozycją łatwego interesu i dużego zarobku, korzystnego przed wyjazdem zagranicę, mianowicie kupna, byle za dolary, dużej ilości sukna, od kogoś, który musi wyjechać. Uszerowie i ich znajomi postarali się o dolary, lecz w chwili przyjmowania towaru i zapłaty zań dolarami zjawilo się u Uszera czterech przedstawicieli „komisji specjalnej”, pośród której jednym z niej był tenże Rosenberg, lecz w charakterze już nie pośrednika, lecz donosiciela i egzekutora.“ „Komisja specjalna“ z miejsca aresztowała Uszera i zapieczętowała jego mieszkanie, tak że mały Grynberg z matką znaleźli się na bruku i bez grosza... Uratowała mieszkanie energia matki, która pojechała do Warszawy i po wielu godzinach czekania dostała się do wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Jasińskiego, a ten zwolnił jej mieszkanie, zaś adwokat Janczewski wprawdzie nie wydobyl Uszera z więzienia, ale nie przyjął pieniędzy za prowadzenie sprawy.

I Grynberg wspomina, że współcześnie uczono go w szkole, iż jest to czas zwycięstwa!! Lecz jego ojczym był w więzieniu, jego matka znów sama biegła po mieście handlując kuponami tkanin, a jego ojciec zamordowany podczas wojny leżał w nieodnalezionym grobie. I dorósłszy, Grynberg doszedł do wniosku, iż ci co głosili zwycięstwo, nie wiedzieli, że wojna właściwie nigdy się nie kończy, tylko chowa się pod powierzchnią życia i tam trwa...

Nie można H. Grynbergowi nie przyznać słuszności. Należy jednak zrobić, do jego twierdzenia, poprawkę, że to w naszej epoce zmienił się charakter wojny. Niegdyś bywały spotkania i walki wręcz dwóch nieprzyjacielskich armii, wymagające osobistej odwagi i poświę-

JAN OSTROWSKI

TYMIENIECKA O LEIBNITZU

Niedawno ukazały się dwie interesujące książki napisane przez prof. dr Annę-Teresę Tymieniecką-Houthakkerową, które zasługują na pilną uwagę. Autorką jest przedstawicielką młodszego pokolenia polskich filozofów pracujących na Zachodzie. Studiowała w Krakowie pod kierunkiem prof. R. Ingardena i u prof. I.M. Bocheńskiego, O.P: we Fryburgu szwajcarskim. Uprawia kierunek filozofii fenomenologicznej. Jest żoną rówieśnika, wybitnego ekonomisty, doradcy dwóch poprzednich prezydentów amerykańskich, prof. dr Hendryła Samuela Houthakker, pochodzenia holenderskiego, który dziś należy do grona najbliższych doradców prezydenta Nixona.

Trudno byłoby z pamięci wymienić wszystkie uniwersytety i wyższe zakłady naukowe, w których wykładała dotychczas prof. Tymieniecka, wszystkie kongresy międzynarodowe, w których brała czynny udział.

Poza swą pracą akademicką, napisała już i wydała sześć czy siedem poważnych książek filozoficznych, w tym 4 oryginalne i dwie, które redagowała w dowód wdzięczności dla swych nauczycieli wyżej wymienionych. O dwóch pierwszych jej książkach była już sposobność poinformowania polskiego czytelnika na emigracji¹⁾. Nowe dwie książki są kontynuacją zasadniczych zainte-

¹⁾ Patrz: J. Ostrowski, „Głos polskiej filozofki“, „O.B.“ Nr. 14/1161 z września 1965 r., str. 13-14: Jest to recenzja z książki pt. „Phenomenology and science in contemporary European thought“ (Fenomenologia i nauka we współczesnej myśli europejskiej). New York, 1962, XIII+198 p. Tegoż „Polka-filozofka“, „Wiadomości“, Rok XIII, Nr. 10/623, z 9 marca 1958, str. 4. Jest to recenzja z książki pt. „L'Essence et l'Existence“ (Istota i istnienie, Paris, Aubier, 1957, 249 p.+5 nl.

cenia... Niegdyś śpiewało się: „Grzmia pod Stoczkiem armaty, błyszczą białe rabaty...“ Nad tragedią wojny unosiła się aureola poezji... Obecnie wojną rządzi technika i przyciśnięcie guzika w nowoczesnej maszynie może zniszczyć doszczętnie cały kraj, zabijając jednocześnie zwycięzcę, jako człowieka. Jest on bowiem świadomy, że jego dziełem jest, w razie zwycięstwa, zniszczenie materialne kraju, z którym walczy, prowadzące do moralnego wykoślenia ludności, którą pokonał.

Władysław Günther

resowań autorki, a ponadto są bardzo znamiennymi przyczynkami do ostatniego etapu w rozwoju współczesnej myśli filozoficznej. Jedna z nich poświęcona jest systemowi Gottfrieda Wilhelma Leibniza (1646-1716), filozofa europejskiego, który stoi u progu nowoczesnej myśli filozoficznej, a którego dorobek wciąż nie jest wyczerpany a przy tym ciągle jeszcze fascynuje swą wielostronnością i prekursorstwem.

Autorka zna dobrze dotychczasowe próby ujęcia istoty poglądów i odrywając się od metody historycznej, stara się dać zarys nowego ich ujęcia. Chodzi jej o wydobywanie jednoczącej zasady w jego systemie, która wieść ma do pewnego typu kreacjonizmu, opartego na zasadzie twórczej i dynamicznej, co dziś jest tak na czasie, zarówno w płaszczyźnie metafizycznej, jak i naukowej czy społecznej. Stąd wcale ambitny tytuł tej pracy: „Synteza Kosmologiczna Leibniza“²⁾. Wyjaśnienia autorki w tej niełatwej lekturze wskazują, że myśl jej blisko współbrzmi z najnowszymi tendencjami w twórczych rejonach filozofii współczesnej. Tęsknota do tego rodzaju myśli wypływa z coraz szerszej odczuwanej potrzeby nowej, zadawalającej syntezy powszechnej i wszechobjęmej. Towarzyszy tej tęsknocie odrywanie się od warsztatów minimalistycznej obróbki szczegółowych zagadnień filozoficznych i sięganie do podstawowych i otwierających dalekie perspektywy rozwiązań. Te dążenia znajdowały już wyraz w filozofii ostatnich czasów i do nich nawiązuje Tymieniecka polemizując ze stanowiskiem Henryka Bergsona (1859-1941), Alfreda Northa Whiteheada (1861-1947), Mikołaja Hartmanna (1882-1950), jak też do fenomenologów i egzystencjalistów, jak R. Ingarden, czy Martin Heidegger. Wypadałoby tu dodać, że chodzi o element dynamiczny, który — w nieco odmiennej formie — występował też w silnym stopniu w systemach polskich filozofów romantycznych, czy tzw. mesjanistów zaczynając od Józefa Marii Wrońskiego (1778-1853).

I w wyniku swych badań nad systemem Leibniza, Tymieniecka doszła do próby samodzielnego podjęcia podstawowego zagadnienia metafizycznego. Sformułował je właśnie Leibniz w drastycznej postaci: „Dlaczego raczej coś jest, aniżeli nie ma niczego?“ I to pytanie Tymieniecka postawiła w tytule

²⁾ Anna-Teresa Tymieniecka „Leibniz, cosmological synthesis“, Assen, van Gorcum & Co., N.V., 1964, II+207 p.

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

swej drugiej, pracy, jeszcze bardziej samorodnej od pierwszej, a pomyślanej jako wstęp, prolegomena do pełnego ujęcia zagadnienia³⁾.

Ta książka, stosunkowo mniejsza objętością od wszystkich jej poprzednich przyłącza się do rzędu wypowiedzi tych filozofów współczesnych, którzy tęsknią, domagają się i współtworzą nowy prąd filozoficzny. Wypływa on z potrzeb dnia dzisiejszego, ale zwraca się raczej ku przyszłości. Przeważający w filozofii akademickiej materializm i analityzm nawiązywał do Leibniza tylko w zakresie jego koncepcji logiczno-matematycznych. Istotny dla niego dynamizm dotychczas raczej mało dostrzegano. Może więc dzięki pracom tego rodzaju, co Tymienieckiej przebijają sobie ten dynamizm drogą na główne trakty oficjalnej filozofii.

Nawiązując do problematyki i metody Leibniza, wykorzystując zdobycze współczesnej fenomenologii i opierając się na pewnych przesłankach wysnutych z badań naukowych w zakresie podstaw biologii, Tymieniecka buduje fundamenty pod nową, udoskonaloną ontologię, odcinając się tu i ówdzie od różnych twierdzeń Kanta, Bergsona czy Whiteheada. Trzeba wyznać, że jest to lektura wcale niełatwa i wymagająca nie tylko cofnięcia się do źródeł, od których myśl Tymienieckiej się odbija, ale także opanowania jej języka i metody wykładu. Z tego, co po pierwszym zapoznaniu się z tą książką można sobie przyswoić, wynika, że nowopojęty obraz bytu i naszego istnienia będzie dość zasadniczo odmienny od przeważającego dotychczas.

Używając może trochę trywialnego, jak na ten poziom abstrakcji, porównania, chciałoby się powiedzieć, że jest to taki przeskok w zakresie filozofii, jak ten, który mieliśmy w zakresie odtwórczych sztuk plastycznych, gdy od fotografii przeszło się do kinematografii. Wiadomo, jak wiele pomysłowości i wysiłków on wymagał, ale wiadomo również, jak wierniej, dokładniej i bogaciej ta nowa sztuka dynamiczna potrafi oddać przejawy życia i rzeczywistości.

Mamy tu do czynienia z przykładem rzadkiej wśród kobiet zdolności wzniesienia się w wysokie rejony abstrakcji filozoficznej, połączonej z wielką głębią intuicji — już mniej rzadkiej u kobiet. Ta rzadka zdolność do abstrakcji sprawia, że nadal tak niewiele jest wybitnych twórczych umysłów kobiecych wśród matematyków.

³⁾ „Why is there something rather than nothing — Prolegomena to the Phenomenology of Cosmic Creation“. Assen, Van Gorcum & Co., N.V., 1966, II+160 p.

DUCH SILNIEJSZY OD CIAŁA

„Życie klasztorne wymaga końskiego zdrowia“ — napisała niegdyś hiszpanka mistyczka — św. Teresa z Avila. I chyba od tamtych czasów zdrowie młodej postulantki stało się jednym z podstawowych warunków przyjęcia do zakonu, choć oczywiście znane są odstępstwa od tej reguły, jak chociażby przedwczesna śmierć św. Teresy z Lisieux, zmarłej na suchoty.

Nic więc dziwnego, że gdy w roku 1930 osiem młodych zakonnice otrzymało pozwolenie od władz, kościelnych założeń nowego klasztoru — dla chorych zakonnice, zarówno ludzie świeccy jak i osoby duchowne nie wierzyły, aby klasztor taki mógł długo istnieć. A jednak, po 40 niemal latach istnienia pierwsza przełożona tego niezwykłego klasztoru Francuzka Matka Marie des Douleurs, wraz ze swym spowiednikiem o. Guécheron mogą poszczycić się dzisiaj dziewięcioma domami zakonnymi we Francji, Holandii, Anglii, Ameryce i Niemczech Zachodnich.

Mało kto sobie zdaje sprawę z trudności prowadzenia takiego zakonu-szpitala, gdzie pacjentki są zarazem pielęgniarkami i posługaczkami dla innych chorych siostr. Chore zakonnice przyjeżdżały z wielu krajów Europy, każda z nich mówiła innym językiem i cierpiała na inne schorzenie, Matka Marie przewyciężyła wszystkie trudności już w swoim pierwszym szpitalu-klasztorze w miejscowości Brou-Chanterraine pod Paryżem.

Myślą przewodnią Matki Marie nie było stworzenie zacisznego miejsca, gdzie ciężko chore zakonnice mogłyby dokonać w spokoju żywota. Przeciwnie: mimo choroby, inwalidztwa, czy starości, zakonnice w Brou miały się uczyć życia na nowo. Matka Marie głosi, iż człowiek dotknięty fizycznym nieszczęściem nie ma prawa osiąść jak gdyby na laurach swego inwalidztwa i korzystać z pomocy ludzi zdrowych. Każdy człowiek bowiem ma nie tylko prawo, ale i obowiązek żyć pożytecznie.

I tak w każdym z 9-ciu domów klasztornych możemy być świadkami takiej oto sceny: na wóół sparaliżowana zakonnica podtrzymywana jest przez młodą postulantkę. Staruszka schodzi powoli do ogrodu, gdzie na wygodnym stołeczku będzie przycinać róże. Stara zakonnica nie zesłaby sama na dół dla wykonania powierzonej sobie pracy, bez podtrzymującej ręki postulantki. Ale — bez uważnej pomocy artretycznej staruszki, młoda dziewczyna nie dotarłaby do kuchni na dole, gdzie ma łuskać groch — gdyż młoda dziewczyna jest zupełnie ślepa.

Zakonnice, które nie mogą opuszczać łóżka — szydełkują i naprawiają bieliznę. Inne, o sparaliżowanych nogach, załatwiają zdrowymi rękami korespondencję klasztorną, ślepe — piorą, kula-we gotują na siedząco, a te skazane na śmierć: rakowate, z leukemią czy chorym sercem, dopóki mogą spędzają czas w laboratoriach, gdzie pod kierunkiem wykwalifikowanych siostr i świeckich

DLA SZKÓŁ

Już są do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojczytych:

ANNA BOGUSŁAWSKA

POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Przewodnik dla nauczyciela

Cena: 10 sh.

JADWIGA OTWINOWSKA

UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda

Cena: 3 sh.

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

pracowników — przeprowadzają bardzo zaawansowane badania nad chorobami raka.

Dzisiaj klasztorne domy Matki Marie des Douleurs, pod wezwaniem Ukrzyżowanego Chrystusa należą do najnowocześniejszych ośrodków rehabilitacyjnych dla ciężko chorych i są pionierskim przedsięwzięciem jeżeli chodzi o psychologiczne podejście dla nieuleczalnych, którzy dotychczas uważani byli przez społeczeństwo za istoty społecznie bezużyteczne.

Ostatnio z brytyjskiego klasztoru odleciała do Japonii, aby i tam nie zbarkło klasztoru Chrystusa Ukrzyżowanego — przełożona, Malajka — siostra Agata. „Zdrowy duch w chorym ciele“. Oto nasza dewiza, powiedziała przed odlotem. A przecież wiadomo, że „duch jest zawsze silniejszy od ciała...“

POLEN KWIATOWY

Od szeregu lat słyszymy ciągle: pszczoła — to synonim zdrowia. A stonkowo niedawno odkryte lekarstwo, tzw. pszczele mleczko jest lekarstwem na wszystkie dolegliwości. Ale pszczele mleczko, obojętne jakie były jego rzeczywiste zalety, było dotychczas preparatem bardzo drogim, nie nadającym się do stosowania na szeroką skalę.

Obecnie znów odzywają się głosy: polen kwiatowy jest napewno odpowiedzią na sekret wiecznej młodości. Pszczoły karmione wyłącznie polenem kwiatowym są bowiem większe i żyją dłużej od swych sióstr, odżywiających się jedynie dietą kwiatowych soków.

Pierwsze obserwacje tego rodzaju poczynione zostały przez pewnego szwedzkiego pszczelarza imieniem Gosta Carrlson, który tak się do swej teorii zapalił, iż wymyślił nawet bardzo skomplikowaną maszynę, zbierającą w sposób fachowy większe ilości mikroskopijnego polenu. Najpierw zaczął go sam spożywać i poczuł się odrazu zregenerowany, przez pozbycie się swej zadawnionej alergii. Od chwili ozdrowienia zajął się więc studiami nad polenem zupełnie już na serio. Teoriami jego zainteresował się w końcu szwedzki instytut higieny i obecnie, pod kierownictwem lekarza-dermatologa Larsa Essena, dociekliwy pszczelarz założył pierwsze laboratorium lekarstw i kosmetyków ze specjalnych gatunków polenu. Dzisiaj znajdziemy w Szwecji sporo naukowych prac na temat wpływu kwiatowego polenu na ludzki organizm. Największe ma on znaczenie jako środek dermatologiczny, a więc i kosmetyczny, gdyż nie tylko przyspiesza regenerację skóry, ale zachowuje jej elastyczność i sprężystość. W postaci le-

ków natomiast jest niezwykle przydatny w leczeniu bronchitów, reumatyzmu i schorzeń starości. W chwili obecnej, poza laboratorium Carrlsona, wielka eksperymentalna fabryka w Vegeholm nazbierała już 40 ton polenu do dalszych eksperymentów..

Jednym słowem — frontem do pszczoły i to nie tylko dla zdrowia czy pięknego wyglądu, ale i dla szczęścia w małżeństwie. W Hiszpanii np. panuje starodawny zwyczaj powiedzenia o dacie ślubu w pierwszym rzędzie pszczołom w pasiece. Jak zapewniają przesądne kobiety hiszpańskie, pszczoła nie powiadomiona przez gospodarza o ślubie córki lub syna, zdecydnie ze zmartwienia. Zawiadomiona — przyniesie młodej parze szczęście i życie ich będzie płynąć jak po miodzie.

„KUCHNIA SZATANA“

Cztery austriackie dziewczęta mężczyły się w sekrecie przez całe zeszłe lato, aby wiele z nas miało w tym roku przyjemne wakacje. Dziewczęta te były dobrowolnymi świnkami doświadczalnymi dla pewnej austriackiej firmy chemicznej, wyrabiającej między innymi, kremy i płyny do opalania się..

Młode Austriaczki: jedna platynowa blondynka, druga ciemna blondynka, trzecia brunetka i czwarta — ruda, spędziły 6 tygodni na Costa Brava w Hiszpanii, opalając się na plaży w... kratkę. Ich plecy, ramiona i nogi podzielone zostały na sektory, a każdy sektor namarowany został innym preparatem. W tej chwili naczelnny chemik firmy Franz Greiter ma już gotowe najodpowiedniejsze preparaty dla rozmaitych pigmentów ludzkiej skóry. Jego „Kuchnia Szatana“, jak nazwano plażowe laboratorium Greitera na hiszpańskim wybrzeżu, ma przeprowadzić tego lata innego rodzaju eksperymenty, a mianowicie, jak zapobiedz zmarszczkom naskutek opalania się. Tym razem do kuchni szatana będą zapraszone przygodne letniczki. Zostaną one oczywiście opłacone za używanie próbnych preparatów, a najodpowiedniejszymi do eksperymentów będą panie o najbardziej zmęczonym wyglądzie. Chemik Greiter bowiem uważa, iż najlepsze rezultaty osiągnie wówczas, gdy odporność kobiety na słońce, wodę morską i wiatr będzie najniższa.

24 LATA I 8 GODZIN

I na zakończenie — rzewna historia. W poczekalni lotniska Detroit w Ameryce spacerował cierpliwie pewien pan w średnim wieku, nazwiskiem John Andrec. Przed chwilą właśnie zapowiedziano przez megafony, że samolot, którym

leci jego żona Anna — spóźni się o 8 godzin. John Andrec, w odróżnieniu od innych czekających na ten samolot — przyjął wiadomość ze stoicyzmem. „Ostatecznie — powiedział — czekałem na moją żonę przez 24 lata, przeczekam więc jeszcze tych parę godzin.

Istotnie, John nie widział swojej polskiej żony przez prawie ćwierć wieku. Pobrali się oni w Polsce w roku 1944 i po trzech tygodniach spędzonych razem John znalazł się w obozie pracy przymusowej, a Annę zagarnęły wojska rosyjskie. Ślad jej odnalazł dopiero po dziesięciu latach, a jeszcze czternaście musiało upłynąć, by wreszcie ją sprowadzić.

I tak wreszcie po 24 latach i ośmiu godzinach cierpliwa miłość Johna została nagrodzona — gdyż z samolotu wysiadła przystojna, szcuple brunetka o prawie niezmionym wyglądzie oblubienicy z przed lat.

K. E.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

ROZMYŚLANIA

ANDRZEJ SACHAROW

o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej

Cena: 7 sh, 1.00 dol., 4.00 F.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Przegląd spraw wojskowych

Zmiany w „Układzie Warszawskim” Ferment, wywołany okupacją Czechosłowacji, a pogłębiony zaognieniem konfliktu sowiecko-chińskiego i, w mniejszym stopniu, nieudaną próbą niedopuszczenia do wyboru prezydenta NRF w Berlinie, zaniepokoił władców Kremla i zmusił ich do kontrakcji mającej ponownie scementować satelickie przedpole Rosji. Wojskową część tego zadania powierzono z natury rzeczy przede wszystkim naczelnemu dowódcy sił zbrojnych „układu warszawskiego”, marszałkowi Jakubowskiemu, który w konsekwencji rozwinął w ostatnich miesiącach niebywałą aktywność, odwiedzając po kolei, nieraz kilkakrotnie, wszystkie stolice państw satelickich. Wizyty te, uzupełnione odprawami w Moskwie, doprowadziły do opracowania nowych „statutów” dla komitetu ministrów obrony, dla zjednoczonych sił zbrojnych i dla ich dowództwa. Te nowe „statuty” przedstawił Jakubowski (po złożeniu sprawozdania o aktualnej sytuacji i zamierzeniach członków układu) komitetowi politycznemu podczas jego krótkiej, marcowej konferencji w Budapeszcie. Szczegóły dokonanych zmian, przyjętych pono (po częściowym ich złagodzeniu pod wpływem Rumunii) jednogłośnie, nie zostały ujawnione. Wiadomo jedynie, że mają one, jak głosi prasa warszawska, „udoskonalić strukturę i organa kierowania organizacją obronną układu warszawskiego”, co w praktyce niechybnie oznacza dodatkowe zwiększenie uprawnień naczelnego dowódcy, a tym samym Moskwy. Jemu też powierzono wprowadzenie w życie podjętych decyzji.

W związku z tym zainteresuje, jak sądzę, naszych Czytelników krótki życiorys tego opasłego olbrzyma, będącego równocześnie I. zastępcą sowieckiego ministra obrony: Iwan Ignatiewicz Jakubowski, syn białoruskiego chłopca, urodził się w 1912 roku, jest przeto o 11 lat młodszy od jego odpowiednika „atlantyckiego”, gen. Lemnitzer. Rzecz inna, że od 1-go lipca NATO będzie miało jeszcze młodszego naczelnego dowódcę w osobie gen. Goodpastera, mającego zaledwie 54 lata.

Kiedy Jakubowski rozpoczął swoją karierę wojskową, nie wiadomo. Wiadomo jedynie, że przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej ukończył akademię Frunzego i że podczas tej wojny zaawansował stopniowo z porucznika na generała-majora i brał udział w walkach pod Moskwą, Stalingradem, Kurskiem i Berlinem i to jako oficer broni pancernej. Na arenie międzynarodowej pojawił się w kwietniu 1960, gdy (już

jako generał-pułkownik) objął dowództwo nad siłami sowieckimi stacjonowanymi w Niemczech Wschodnich. Choć podczas berlińskiego kryzysu w 1961 r. został przejściowo podporządkowany marszałkowi Koniewowi, pozostał na tym ważnym stanowisku do lutego 1965. Następnie dowodził przez dwa lata kijowskim okręgiem wojskowym — jako generał armii, a w 1967 został mianowany marszałkiem i wiceministrem, zaś w czerwcu tego roku naczelnym dowódcą sił zbrojnych „stron układu warszawskiego”. Jak dowodzą jego artykuły, umieszczone w „Krasnaja Zwiezda” i „Prawda”, jest on zdecydowanym przeciwnikiem chruszczowskiej doktryny liczenia głównie na broń nuklearną oraz zwolennikiem zdecydowanej hegemonii sowieckiej nad satelitami. Toteż nie może ulegać wątpliwości, że przyczynił się w znacznym stopniu do unocześnienia sowieckich i satelickich sił konwencjonalnych oraz do okupacji Czechosłowacji.

O ile do „normalizacji” tego „bratniego” kraju jeszcze daleko, czego dowodem m.in. dokonane 28 marca zdemolowanie biur sowieckiego „Aeroflot” przez praskie tłumy, rozentuzjazzmowane zwycięstwem hokeistów czeskich nad sowieckimi w mistrzostwach świata, o tyle ponowna integracja czechosłowackiej „rudej armady” odbywa się, pod wpływem Jakubowskiego i częstych wizyt czechosłowackiego ministra obrony, gen. Džura, na pozór gładko. Świadczy o tym nie tylko brak starć między żołnierzami obu armii, ale także udział czechosłowackich oddziałów w wielkich manewrach „Wiosna”, rozpoczętych 28 marca pod kierownictwem marszałka Jakubowskiego. W manewrach tych, rozgrywanych na terenie Czechosłowacji, Polski i Niemiec Wschodnich, biorą, oczywiście, udział nie tylko oddziały tych trzech państw, ale także sowieckie.

Czy Jakubowski będzie nadal domagać się analogicznych manewrów na terenie Rumunii i czy w razie dalszych oporów Bukaresztu Kreml zdecydował-

by się na powtórzenie sierpniowego gwałtu, zależeć będzie przede wszystkim od dalszego rozwoju sytuacji na Dalekim Wschodzie, ale w pewnym stopniu także od przebiegu wznowionych w Genewie rokowań „rozbrojeniowych” oraz od reakcji zachodnio-europejskich państw na dywersyjny, bo eliminujący Amerykę, apel, skierowany do nich z Budapesztu.

Konflikt sowiecko-chiński. Choć trzykrotne, zresztą nieudane próby Chińczyków opanowania bezludnej wysepki „Damański Ostrów” na zamarznętej rzece Ussuri były krwawsze niż poprzednie utarczki na 7.000 kilometrów długiej granicy, których było w ciągu ostatnich 10 lat rzekomo blisko 2.000, i choć obie strony wzmocniły swoje siły osłonowe oraz zastrzyżyły wzajemne oskarżenia i obelgi, nie wydaje się, by już niebawem doszło do prawdziwego konfliktu zbrojnego między obu tymi olbrzymami. Moskwa boi się uwikłania w długotrwałą wojnę z chińskim mrowiem, którą mógłby Zachód wykorzystać, i liczy na utracenie Mao-Tse-Tunga oraz na rozkład Zachodu, zaś Mao zdaje sobie niechybnie sprawę z tego, że Chiny na razie nie są zdolne do wielkiej wojny. Zwłaszcza wojny, która musiałaby być prowadzona ofensywnie, jeśliby miała doprowadzić do rewindykacji ziem, których odzyskanie swoim ziomkom przyobiecał, i która mogłaby doprowadzić do użycia przez Sowietów ich straszliwego młota nuklearnego.

Jeśli mimo to Breżniew straszyl w Budapeszcie swoich „sojuszników” żółtym niebezpieczeństwem, jak podają źródła jugosłowiańskie, to chyba nie dlatego, by wymóc ich bezpośrednie zaangażowanie, ale dlatego, by skłonić także opornych „podopiecznych” do wzmocnienia wysiłków zbrojeniowych i do nieprzeciwstawiania się pełniejszej integracji. Miejmy nadzieję, że to wyolbrzymianie niebezpieczeństwa wojny na dwa fronty raczej wzmocni opory ofiar Kremla i nie uśpi do reszty czujności zbyt łatwowiernego Zachodu. Kage

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

WSPOMINAM MĄDRALIN

Wsi spokojna, wsi wesola,
Który głos twej chwale zdola?
Kto twe wczasy, kto pozytywki
Może wspomnieć za raz wszystkie?

Jan Kochanowski

Do Mądralina*) jechało się bryczką jednokonną, która stała przed stacją w Otwocku, czekając na przybywających z całej niemal Polski uczonych. Nieduży czerwono-gniady konik zachęcony wołaniem woźnicy Stanisława i trzaśnięciem z bata rusza zrazu żwawo przed siebie, dając złudzenie szybkiej jazdy, podrzucając gościa na wybojach i mijając szybko parkany pensjonatów z werandami, do których na wilegiaturę przyjeżdżali chorzy na płucą. Wyjeżdżając za opłotki Otwocka koń jednak zwalniał biegu i włókł się zwolna po drodze piaszczystej jakby wyczerpany nadmiernym wysiłkiem, a nieraz nawet przystawał. Napróżno Stanisław używał wszystkich środków perswazji, nie to nie skutkowało, a mądraliński gość okryty kocem mógł dowoli podziwiać mazowiecki krajobraz zieleń pól, nad którymi nieraz wisiał gdzieś wysoko skowronek i wchłaniać ożywcze powietrze, pełne aromatu ziół i zoranej gleby. Potem podróż stawała się jeszcze powolniejsza, bo droga wiła się wśród wydm piaszczystych i pagórków, na których rosły karłowate sosenki. Dopiero dojeżdżając do wsi Mładz w koniu widocznie na myśl o zbliżającym się odpoczynku budziła się niezwykła u niego energia i przebiegał on truchcikiem wiejskie zagrody ku podziwowi miejscowej dziatwy przy ujadaniu psów. Teraz już widać było z dala wysoki krzyż na wzgórzu i wjeżdżało się ostrożnie na klekocący drewniany most nad szeroko rozlanym Świdrem przy terkocie starego młyna, który się rozsiadł nieopodal. Stąd już rozpościerał się widok na ciemną ścianę lasu, na tle którego bielił się ścianami swymi Mądralin niczym dwóch soplicowski w „Panu

Tadeuszu“. Przed jednopiętrowym budynkiem, pobielanym wapnem ciągnął się dość duży ogród owocowy, gdzie nad krzewami malin i porzeczek kraśniały jarzębiny, dalej zaś był już sosnowy las.

Przybywającego gościa z Warszawy, Krakowa czy Wilna witała kierowniczką Domu dla Uczonych, pani Maria Zambrzycka, bardzo sympatyczna starsza pani o przysadzistej nieco postaci i oczach jakby wyblakłych, lecz pełnym życzliwości uśmiechu. Gość roztasowawszy się ze swymi papierami w małym, lecz technicznym czystością pokoju w budynku głównym lub oficynie, która była już w lesie i pachniała żywicą i igliwem, zasiadał następnie przy stole okrytym śnieżno białym obrusem w jadadnym pokoju, gdzie usługujące piękne wiejskie dziewczęta przynosiły herbatę i doskonałe ciasteczka domowego wypieku. Z okien jadalni widać było wysokopienne sosny, a na jej białych ścianach był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wypalany w glinie oraz świetne szkice architektoniczne Stanisława Noakowskiego, dawnego bywalca Mądralina. Opodal był niewielki pokój z oszkloną werandą, w którym mieściła się dość przypadkowo dobrana biblioteka, gdzie niegdyś rozczytywałem się w dziełach Wyspiańskiego oraz istny skarb Mądralina, wielka księga, do której wpisywali swe utwory jego goście, a nie brakło wśród nich i sławnych pisarzy jak Stefan Żeromski i Artur Górski obok plejady najlepszych naszych uczonych. Utwory te były przeważnie żartobliwe, będące odbiciem beztroskiej atmosfery i spokoju, którym się cieszyli mieszkańcy siedziby uczonych po wielkomiejskim gwarze. Na szczególne wyróżnienie pod tym względem zasługują dozwolone czterowersze, umieszczone pod fotografiami ilustrującymi życie w Mądralinie, pióra jednego ze znanych profesorów oraz humorystyczny jego opis, napisany łaciną średniowiecznych kronikarzy przez prof. S. Kota. Nie brakło tam zresztą i rysunków malarzy oraz utworów poetyckich, jak romantyczny

wiersz młodego wówczas Rysia Kiersnowskiego o lampie naftowej, bo nie było jeszcze wtedy w Mądralinie elektryczności. Każdego przyjeżdżającego ogarniało poczucie ogromnej ciszy, w którą wplątywał się tylko szum wysokich sosen, płynący gdzieś sponad wierzchołków drzew, skłaniający do marzeń i rozmyślań. Była to atmosfera wyjątkowo sprzyjająca pracy twórczej i niejednym z uczonych tu właśnie wykańczał swe dzieła, od których odrywał go zgiełk i wir obowiązków.

Do Mądralina przyjechałem po raz pierwszy zimą 1930 r. w towarzystwie pana Stanisława Michalskiego, twórcy sławnego „Poradnika dla samouków“. Byłem wtedy studentem II roku prawa i miałem już za sobą pierwszy zbiorek mych wierszy pn. „Pożegnanie Szkoły“. Panu Michalskiemu zaś przedstawił mnie Artur Górski, dawny redaktor krakowskiego „Życia“ i autor „Monsalvatu“. Gdy ujrzałem po raz pierwszy pana Stanisława, jak go nazywali wszyscy jego przyjaciele, na tle jego skromnego saloniku, wypełnionego książkami przy ulicy św. Barbary, uderzyła mnie przede wszystkim jego sarmackość. Choć niezbyt wysokiego wzrostu był on postawnym mężczyzną o czarnych mądrych oczach i siwych sumiastych wąsach w dół opadających, któremu najbardziej do twarzy byłoby w kontuszu czy delii. Po prostu promieniowała z niego polskość. Poświęciwszy całe swe życie nauce polskiej i z tego powodu jak Judym nie założysz ogniska domowego cieszył się on wyjątkowym uznaniem i mirem wśród uczonych, których wiedzę wysoko cenił i którym starał się we wszystkim przyjąć z pomocą. Z jego też namacznego powstał Mądralin, gdy zarażony jego entuzjazmem światły szewc warszawski inż. Franciszek Hiszpański ofiarował na ten cel grunta i zabudowania. Mądralinowi też poświęcił pan Stanisław niewyczerpane zasoby swej energii czy to dokupując w imieniu Kasy im. J. Mianowskiego dalszy kawał lasu, czy to zaprowadzając elektryczność, gdy pani Dłuska, siostra Marii Cu-

*) Dom Kasy im. G. Mianowskiego nad Świdrem dla pracowników naukowych, nazywany tak żartobliwie przez ludność okoliczną.

rie Skłodowskiej ofiarowała motor elektryczny, czy to po latach budując na wzgórzu w lesie nowoczesny dom, w którym nie było mu danym spędzić ostatnich lat życia jak to sobie wymarzył.

Ideą pana Stanisława było zapewnienie nie tylko uczonym, ale i wszystkim twórcom miejsca, gdzie by mogli znaleźć odprężenie i dalsze natchnienie do pracy na tle piękna polskiej wsi. Chodziło mu również i o to, aby specjaliści, reprezentujący różne gałęzie wiedzy mieli możliwość wymiany poglądów z uczonymi z innych dziedzin, unikając w ten sposób niebezpieczeństw wąskiej specjalizacji. Cele te udało mu się całkowicie osiągnąć. Mądralin z biegiem lat stał się ośrodkiem intensywnego życia umysłowego, promieniującym na całą Polskę. Uczeni i artyści, których nazwiska są chlubnie zapisane w dziejach naszej kultury tu właśnie w balsamicznej atmosferze sosnowego lasu znajdowali niezbędną spokój i możliwość skupienia nad problemami, które ich interesowały oraz skonfrontowania swych poglądów i ich pogłębienia poprzez kontakt z przedstawicielami innych specjalności.

Od pierwszej wizyty w Mądralinie stałem się tam stałym bywalcem aż do 1937 r., gdy otrzymał stypendium Rządu Francuskiego na studia filozoficzne, wyjechałem wraz z matką do Paryża. Przez te 7 lat Mądralin był dla mnie drugim domem rodzinnym, a zarazem i jedyną w swoim rodzaju Akademią. Żądny wiedzy i pełen entuzjazmu młodości mogłem rozmawiać z największymi uczonymi, którzy nieraz ze mną dzielili się swymi myślami i rezultatami swych dociekań. Nieraz tak się działo w Mądralinie, gdy cichy dom nauki był wypełniony mnóstwem głosów, a rozmowy przy stole, lub w czasie spacerów w lesie i ogrodzie zataczały szerokie koła tematów, poczynając od aktualnej wówczas sprawy autonomii uniwersytetów, a kończąc na najnowszych odkryciach w dziedzinie fizyki czy biologii.

Szczególnie ciekawe były dyskusje z fizykami, którzy opowiadali o postępach swej nauki, o odkryciach i wynalazkach, które miały zmienić oblicze świata. Fenomenem pod tym względem był prof. Czesław Białobrzski, znakomity astrofizyk, który

zadziwiał wszechstronnością swych zainteresowań, mówiąc z równą swobodą o teorii Einsteina i możliwościach lotów międzyplanetarnych przy użyciu energii atomowej jak o filozofii św. Tomasza z Akwinu, której był zwolennikiem, lub o organizacji wojska Dżengis Chana! Interesujące były również rozmowy z prof. Stefanem Pieńkowskim, który, pamiętam, raz wyjaśniał mi, że uważa symbolizm matematyczny fizyki nowoczesnej za system konwencjonalnych znaków. Młodszy od nich wiekiem docenci Jabłoński i Kapuściński, zupełnie różni temperamentem z zapalem wtajemniczali mnie w arkania swej wiedzy.

Miłośnikiem Mądralina był również znany chemik prof. Wojciech Świątosławski, późniejszy minister oświaty. Jednym zaś z najczęstszych gości był wysoki i kościsty prof. Bolesław Hryniewiecki, którego portret rektorski malował malarz Michalak.

Nie brakło zresztą rektorów w Mądralinie. Jak żartował pan Stanisław, raz zasiadło do stołu jednocześnie 9 „magnificencji“! Jedną z nich był znany dziś na całym świecie twórca logiki trójwartościowej prof. Jan Łukasiewicz, który poprawił błędy Arystotelesa, niedostrzeżone przez przeszło 2 tysiące lat! Z filozofów do stałych bywalców Mądralina należał również prof. Henryk Jakubanis, przypominający swym wyglądem typowego profesora z okresu idealizmu, w czarnym surducie i z nieodstępnym parasolem, lecz ujmujący swą serdecznością i prostotą. W pewną noc księżycową zaproponował on gronu przyjaciół, że chce im pokazać coś ciekawego w lesie. Gdy poszliśmy zaintrygowani poprzez zasypane igliwem ścieżki, ukazał nam on niewielką polanę, która w poświacie księżycowej wyglądała zupełnie jak lśniąca tafla wód jezioro. Przez długą chwilę staliśmy jak urzeczeni, podziwiając piękno tego obrazu. Las, w który przechodził ogród Mądralina był nieodzownym tłem myśli i

uczuć, przy szumie drzew powstawały najciekawsze pomysły i nowe idee.

Atmosfera w Mądralinie była bardzo pogodna. Uczeni nieraz przy stole opowiadali o swych podróżach i obserwacjach, nie dotykając drażliwych tematów, choć byli wśród nich jak np. prof. Stanisław Kot, należący do opozycji i osobisty przyjaciel Piłsudskiego, wyglądający na typowego szlagona, jowialny profesor geografii Sujkowski. Wszystkich ich łączyła troska o naukę polską.

W rozmowach pełnych zażyłości i przyjaźni mijały wieczory przy upajającym zapachu rezedy, a w maju przy dźwiękach rzewnych pieśni majowych, śpiewanych przez ludność okoliczną pod krzyżem nad rzeką. Barczystej postaci i o siwiejącej czuprynie prof. Ignacy Chrzanowski opowiadał z ożywieniem nowe dowcipy, które przywiózł z Krakowa, to znowu wspominali dawne czasy rewolucji 1905 r. kooperatywista prof. K. Krzeczkowski, dyr. Biblioteki Sejmowej dr H. Kołodziejcki i działacz biolog prof. R. Minkiewicz, to znowu prof. Dobrowolski, członek wyprawy podbiegunowej Arctowskiego, przezywany „gorącym lodem“ ze względu na swój zapalny temperament i dzieło o lodzie, propagował żarliwie ideę wszechstronnego kształcenia uczonych. Kogo zresztą tam nie było?

Spotykałem tam też moich profesorów. Byli nimi filozof prawa prof. Eugeniusz Jarra, prof. Karol Lutoński, dyr. Kasy im. J. Mianowskiego oraz filozofowie prof. Władysław Tatarkiewicz i prof. Tadeusz Kotarbiński. Z humanistów bywali poza wymienionymi wielki filolog prof. Jan Rozwadowski, autor monumentalnej „Literatury Polskiej“, prof. Gabriel Korbut, znawca literatur romańskich, prof. Władysław Folkierski, autor „Pałuby“, Karol Irzykowski, odkrywca Norwida Zenon Miriam Przesmycki, profesoro- wie Stanisław Pigoń, Wacław Borow- y i Stefan Kołaczkowski, krytycy

JÓZEF A MEKARSKA

WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

Makowiecki i Tymon Terlecki, Jowiszowej postaci prof. Tadeusz Zieliński, historyk prof. Smoleński, archiwista prof. S. Ptaszycki, a wreszcie i ojciec naszej socjologii prof. Ludwik Krzywicki. Bogato reprezentowane też były nauki przyrodnicze i medycyna, że tylko wspomnę tu jednego z najzarliwszych przyjaciół Mądralina biologa prof. Białaszewicza oraz przedstawicieli medycyny z sędziwym rektorem Gluzińskim na czele, którymi byli profesorowie Veulet, Konopacki i Vetulani oraz neurolog prof. Orzechowski i psychiatra Mazurkiewicz, który niegdyś dopomógł w ucieczce Piłsudskiego.

Należał do tego grona również profesor anatomii Loth, dzięki któremu miałem przygodę, która mogła się zakończyć tragicznie. Pewnego dnia mój profesor filozofii W. Tartakiewicz przysłał Mądralinowi niezwykle dar — białego konia, pół araba z majątku swojej żony. Ponieważ większość profesorów była w podeszłym wieku, wierzchowiec stał beczynnie w stajni i niewiadomo było co z nim robić. Czasami dosiadał go tylko chłopak stajenny, a potem opowiadał, że ogisty ogier stawał dęba, gdy zobaczył papier leżący na drodze. Będąc młodym i nieopiecznym, postanowiłem spróbować mego szczęścia i jakoś mi to uchodziło płazem. Koń przeważnie pędził jak szalony przez las, a gdy się zmęczył, spokojnie wracaliśmy do stajni. W ten sposób, choć nie znałem się na konnej jeździe, zadowolony byłem z konia i, zdaje się, koń ze mnie, bo dałem mu się wyhasać. Zauważył jednak tę moją jazdę prof. Loth, były legionista i wykrzyknął ze zdumieniem, że przecież nie mam zielonego pojęcia o konnej jeździe. Następnie poradził mi, abym w pierw starał się jeździć stępą po ogrodzie, bo w ten sposób nauczę się jeździć konno. Nie było rady, musiałem posłuchać doświadczonego kawalerzysty. Zaledwie jednak koń zrobił parę kroków, gdy nagle się rzucił jak opętany w kierunku stajni, unosząc mnie ze sobą. Odrzwia stajni były bardzo niskie i był to prawdziwy cud, że w ostatniej chwili schyliłem głowę, zwalając się koniowi do nóg już w stajni. Zaledwie jednak wyszedłem oszołomiony tą przygodą, gdy prof. Loth zaczął żartować: „No, teraz to pan już nigdy na konia nie wsiądzie!” Na to wyzwanie

Z TEATRU

MŁODZIEŻ GRA „DAMY I HUZARY“ A. FREDRY

Na piętnastolecie szkoły PMS imienia Marii Konopnickiej zespół młodzieżowy dał w Anson Hall dwa przedstawienia „Dam i Huzarów“ A. Fredry, w bardzo udatnej reżyserii Jadwigi Otwinowskiej. Piękne dekoracje przygotowali J. i F. Matyjaszkiewiczowie. Charakteryzacją zajmowali się pp. E. Magierówna i B. Urbanowicz. Mimo tej cennej pomocy doświadczonych ludzi teatru, przedstawienie mogło nie wypaść tak dobrze, jak wypadło, gdyby nie tak szczęśliwie dobrany zespół młodych wykonawców spośród młodzieży gimnazjalnej.

Niewątpliwie, dziewczęta górowały nad chłopcami. Orgonową zagrała Vio-

la Ho'a z werwą utalentowanej adeptki teatru, a dzielnie sekundowały jej M. Rudzińska jako Aniela, K. Kołodziej-ska jako Dyndalska i B. Mądra jako młodociana Zosia. Swawolnymi subretkami były: E. Mazur (Fruzia), B. Bo-jakowska (Józia) i E. Bogdanowicz (Zuzia). Sylwetkę służbistego majora starał się oddać B. Kucharek, swobodniej wypadła postać rotmistrza w wykonaniu J. Ciszewskiego, a akcenty romantycznej młodości reprezentował J. Mahorowski jako porucznik Edmund. K. Bętkowski grał Kapelana („Nie uchodźzi, nie uchodzi!“). Grzegorz (A. Kamiński) był w miarę komiczny i niezgrabny, a Rembo (M. Matuszak) górował nad innymi naturalną rezolucją.

Przedstawienie miało dobre tempo, opanowanie tekstu ról było nad wyraz sprawne, a wiersz fredrowski podany był tak jasno i czysto, że nadrabiał wszelkie drobne niedobory w inscenizacji. Widzowie wypełniający widownię, bawili się doskonale, bez względu na wiek, tak iż raz po raz wybuchały salwy śmiechu, będące doskonałą zachętą dla grających. Naprawdę orzeźwiający widok, które zaliczyć można do najlepszych, jakie teatr młodych nam dotychczas pokazał. Kierownictwo widowiska i szkoły oraz sami wykonawcy zasłużyli sobie na pełne uznanie. Wyrazić się ono powinno przez wypełnienie sali Wspólnoty Narodów, gdy dane będą tam w maju dalsze przedstawienia „Dam i Huzarów“.

J.O.N.

dosiadłem po raz drugi mego ruma-ka, który tym razem pomknął wraz ze mną w las, że tylko, migajął pnie drzew. Zdążyłem tylko pomyśleć: „Co teraz z tobą będzie, Aleksandrze Macedoński?“ i zrzuciłem się z siodła, a konia dopiero po jakimś czasie złapał chłopak stajenny.

* * *

Piękne były noce w Mądralinie. Wysoko nad drzewami wisiał księżyc i słychać było szum wysokich sosen, które poruszał swymi palcami wiatr. Można było marzyć o przyszłości, pisać wiersze i zachwycać się życiem, które urzekało swoim pięknem. Ciekawe rozmowy z uczonymi rozszerzały horyzonty, ukazując nieraz nieznane i nowe perspektywy. W dzień można było w lecie kąpać się w pobliskim Świdrze i opalać na słońcu, lub iść przez las, pełen borówek i czarnych jagód i wsłuchiwać się w jego szum. W ogrodzie owocowym były rozłożyste jabłonie, rosły maliny i agrest i zasadzone przez panią Zambrzycką truskawki. Na sosnach były domki dla ptaków, które zakładał pan Stanisław, przywożący z Warszawy różne sadzonki, a również i małe drzewka, które sadił na mazowieckich piaskach, wiedząc, że drzewa przetrwają ludzi. Nad samym brzegiem Świdra zasadził on modrzew na moją pamiątkę, który dziś jest pewnie wielkim drzewem i opowiada swym szumem o czasach, które nigdy nie wróca.

INSTYTUT LITERACKI

Paryż — 1969

DOMINIQUE DE ROUX

ROZMOWY
Z GOMBROWICZEM

Cena: 15/6; 15.00 F.; 3.75 dol.

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.

DWA DNI

(OPOWIADANIE)

— A ilu to pani ma teraz tenantów?

— A dziękuję, jakoś obleci. Ten Irlandczyk, pijak, już się wyniósł, a już mam nowego na pokój — student niby — ale wie pani, jak im to wszystkim teraz z oczu patrzy. Włosy długie, jak dziewczyna, ale nie mogą powiedzieć, porządny jak na razie.

— Jak na razie, a nie wie pani, co będzie później. Eee, ja to bym żadnego kudłacza nie wzięła — wtrąciła prędko druga z kobiet wydymając z determinacją usta i splatając ręce zacywnym ruchem na brzuchu. A reszta, ta sama co?

— Tak, te dwie Włoszki na górze, a na piętrze ta Iriszka, no i — tu gospodyni sciszyla głos i spojrzawszy ostrożnie w górę schodów szepnęła — no ten starszy Polak, wie pani dziwak, bo to samotny.

Obie kobiety wymieniły zgodne spojrzenia — pełne nienaruszalnego autorytetu i pewności.

— Proszę pani — dodała bardzo cicho gospodyni rzucając jeszcze jedno badawcze spojrzenie na schody — toć człowiek sam, listów żadnych nawet nie dostaje. Prosił się z mężem do nas na telewizję, ale i to rzadko przyjdzie. Już ze dwa lata u nas jest, a przedtem gdzieś na Wimbledonie podobno miał pokój. Ale to trudno z niego co wydobyć. Tyle jeno wiemy, że z wojskiem był. Książki czyta i języki zna. Widziałam u niego francuskie i niemieckie tytuły, ale to i pani już mówiłam.

Znów obie pokiwały głowami.

— No nie pani, to idę, bo Józek zaraz ze szkoły wróci, a to dzisiaj holiday zaczynają i więcej będzie ruchu. Jedzie pani po indyka we wtorek?—

— Za wcześniej, chyba dopiero we środę, bo nie mam gdzie trzymać póki mąż porządku w lodówce nie zrobi.

— A nic, to ja się też we środę wybiorę z Leonem. Dzisiaj koło szóstej, jakeśmy mówiły, zagładnę, to do zobaczenia.

— To na razie.

Drzwi się zatrzasnęły i pani Róża, wzięwszy swoją butelkę mleka ru-

szyla do siebie. Już zamykając drzwi te od mieszkania, usłyszała jak wychodzi ktoś na pierwszym piętrze. Podeszła do okna by sprawdzić, czy się dobrze domyśliła co do osoby. Nie mógł to być o tej porze nikt inny, tylko ten samotny dziwak. Nie myliła się. Siwy mężczyzna o szczupłej sylwetce zamykał za chwilę furtkę przed domem. Popatrzyła jeszcze chwilę za nim. Szedł wolno, lecz równym krokiem. Podobno chorował na serce, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Trzymał się zawsze prosto, nigdy nie narzekał na swoje zdrowie; w ogóle mało o sobie mówił. Rodzina w kraju? Bracia zginęli na wojnie, ojciec umarł przed okupacją, o matce nie miał wieści od 25 lat, a „rodziny tak to nie mam“ mawiał zawsze i szybko kierował rozmowę na inny temat. Kiedyś, gdy zmieniała pościel w jego pokoju zauważyła fotografię młodej dziewczyny na kominku. Na następnym dzień zapytała go czy to siostra. Uśmiechnął się, wtedy bardzo dziwnie i rzekł wymijająco: „I tak i nie“. Już więcej nie pytała, a fotografia więcej nie pokazała się na kominku.

* * *

Siwy mężczyzna wysiadł z kolejki podziemnej na stacji Westminster i poszedł w kierunku parlamentu. Minął statąg Cromwella i przeszedłszy jeszcze paręset jardów skręcił w nadbrzeżny zieleniec. Tu zwolnił zupełnie i koło krzyczącej grozą grupy zamarłych w bezruchu „Mieszczan Calais“ wyczarowanych wszystko czującą ręką Rodina doszedł do kamiennego podmurowania,

Oparł na nim łokcie i utopił wzrok w ołowianych falach Tamizy. Zdawał się być odgradzony od świata, który go otaczał. Wtedy, gdy szedł i teraz, gdy patrzył w rzekę. Twarz jego była pociągła, o jasnej cerze. Oczy niebieskie i patrzące tak bardzo w dal, że można było przypuszczać, iż patrząc na wodę wcale jej nie widział. Brwi obfite, lecz regularne i wspaniałymi łukami rozpościerające się nad oczyma czyniły wraz z czystymi rysami i delikatnym

prostym nosem, tę twarz piękną, choć już przecie niemłodą i steraną. Ten człowiek był zupełnie siwy, lecz nie mógł mieć więcej niż 50 lat. Czoło zorane miał surowymi bruzdami, a usta układały się w sposób wyrażający coś więcej niż opanowanie.

Mjr. Skarszewski szybkim ruchem włożył ręce do dużych kieszeni swej popielatej dwurzędówki i zwiesiwszy z lekka głowę na piersi westchnął ciężko. Życie płynęło dla niego jak te szare wody rzeki przesuwałej monotennie swój cień — w nieskończonej beznadziejności. Kim był? Może nierealnym marzycielem, idealistą, dla którego nie było miejsca wśród normalnych, przeciętnych ludzi. Nie miał prawie znajomych, z nikim się nie widywał — tylko ta rzeka była powierniczką i jego najlepszą przyjaciółką. Stronił od ośrodków polskich, śmiał się w duchu z „Polskiego Rządu na uchodźstwie“. Nie czytał polskich gazet i mógł chyba robić wrażenie cudzoziemca lub szaleńca, dla którego wojna i rozłąka z krajem okazały się próbą ponad siły i uczyniły zeń człowieka niezdolnego do życia społecznego i aktywnego. Rzeka jedynie była czymś nieuchwytnie przyjaznym, bo była niema, bo nie zadawała pytań, jak czynili wszyscy inni i była cierpliwa — mógł powiedzieć jej wszystko, nawet to, jak bardzo był nieszczęśliwy. Nie chciał o tym mówić z nikim i nienawidził owych dobrych rad — „niech się pan ożeni“ i owego uzasadnienia „życie polskie nam się zamknęło, trzeba nowe tutaj zbudować“. Mówiono mu tak, gdy skończyła się wojna i wtedy odszedł od tych, których znał i stał się surowym i niedostępnym samotnikiem. Nie chciał nowego życia, nie chciał nowego świata — życie dla niego — zaczęło się tam w tym dziwnym kraju nadwiślańskim z którego śmiał się czasem dobrotliwie i który był dla niego niepoważny w swej małości i głupich błędach narodowych. Podziwiał tolerancję Anglików, pracowitość Niemców i ciężko winił swój własny naród za nieposiadanie tych zalet. Gardził nietolerancją, zapalczywością i kłótlivo-

ścią swych ziomków, lecz nie było takiej siły, która zmusiłaby go do rozpoczęcia życia z innym narodem. Zresztą z kim? Ożenić się? Tu już nawet nie czuł oburzenia, jak wtedy zaraz po wojnie, gdy mu to proponowano. Wtedy był młody, silny, pełen nadziei i wierzył w lepszą przyszłość — na wojnę wyjechał zaręczony. „Nowe życie“ nie miało dla niego żadnego znaczenia — on chciał mieć to, które zaczął. Tam mógł się jedynie spodziewać więzienia, co w najlepszym razie (za bardzo był aktywny w czasie wojny). Przez całe lata szukał swej narzeczonej przez ogłoszenia — lecz życie odpowiadało mu wielką ciszą, okrutnym milczeniem. Nic nie obchodziło go już naprawdę. Czytał, interesował się stosunkami międzynarodowymi, chodził nawet do teatru, rzadziej na filmy, lecz wszystko to było tylko jakimś zewnętrznym znakiem, pewnego rodzaju zabiciem czasu, by zupełnie nie zwariować.

Szedł wzdłuż tej rzeki powierniczki — opuszczony jak ptak, który złamał skrzydła i pozostał sam, gdy stado poleciało naprzód. Nie miał nikogo i nic oprócz wspomnienia, które było mu wszystkim i które miało go w posiadaniu bez reszty.

Zobaczył jakąś parę przytuloną do siebie na ławce. Poszedł dalej, szybszym krokiem.

Po chwili siadł na dalszej ławce i skrzyżowawszy ręce na piersiach wpatrzył się w czubki swych butów. „Są już mocno zużyte“, pomyślał, „wyglądają zużyte“. Drzewa zaszeleściły z cicha, wiatr poruszył mu włosy, jakby okazując mu swoje lekceważenie. „A zresztą kogo to obchodzi, że wyglądają zużyte“. Poruszył się niecierpliwie i już wstawał, gdy jakiś brzydki, białobrudny pies podbiegł nie wiadomo skąd i począł obwąchiwać jego podeszwy. Podniósł rękę, by go odpędzić, lecz wtedy kundel podniósł na niego małe czarne oczy i został tak chwilę bez ruchu. Major usiadł i machinalnie wyciągnął rękę ku niemu, lecz pies warknął. Ręka wciąż jednak była ku niemu zwrócona łagodnym ruchem. Wreszcie różowy jezior szybko przesunął się po czarnym nosie, a potem swą wilgotną, ciepłą powierzchnią musnął wyciągnięte palce. Skarszewski nie mógł się powstrzymać od uśmiechu i spróbował po-

głaskać umorusanego włoczykija lecz ten ostatni, widać dość miał znajomości, bo nagle odskoczył w bok i przez moment zainteresował się niezwykłe szerniałą i zardzewiałą nogą ławki, a potem zawieruszył się gdzieś tak nagle, jak przybiegł.

Mężczyzna podszedł jeszcze raz do podmurowania i jakby na pożegnanie spojrzął na rzekę. Czas mijał na tu szybko i teraz kończyło się już popołudnie. Na przeciwnym brzegu szare rusztowania i umocnienia rzeczne nabierały z wolna barwy czerwonej wieczoru, nawet ołowiane fale odbijały miejscami mato-miedziany odbłask. „Tam się pewnie też robi wieczór“ — przesunęło się mu przez myśl „i słońce pewnie zachodzi jak dawniej..., złoto, czerwono...“ Więcej osób pojawiło się na ścieżkach. Kilku młodych ludzi śmiało się beztrudno idąc sprężystym krokiem przez miękką trawę. Znowu ujrzał tego białobrudnego kundla, lecz teraz już w kompanii całej czeredy takich jak on — zziębniętych, poszczekujących psów, uganiających bez wytchnienia, bez celu... Zawrócił.

Jakby z ciemności ukazały mu się obrazy jakieś dziwne. Dom? czyj dom...? Nie, to znowu ulica... kroki... Idą, raz, dwa, raz, dwa, jeszcze mocniej RAZ, DWA, RAZ, DWA, TRZY, CZTERY. W świetle latarni widzi hełmy ze stromymi daszkami chroniącymi kark... strzał — ktoś krzyknął przeraźliwie wśród nocy... raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa — w nieskończoność. Wszystko znika jakby rozprysnięta bańka mydlana, lecz znowu coś nowego — krzyki jakby na jarmarku, ale ten jarmark jakiś odmienny. Brodaci Arabowie w białych burnusach z dzikimi i przebiegłymi twarzami stają w oczach ruchliwym tłumem, poruszającym się jakby w transie między straganami pełnymi rupieci. Ulica zawałana śmieciem i kawałkami na wpół zgnitej ryby, a w tym wszystkim warczące cicho, chude psy, które uskakują przed nogami przechodniów. Jeden nie zdążył i za późno odbiega, ale już kopnięty i skomlący. Gorąco, gorąco jak w łaźni, nie można otworzyć szerzej oczu. Próbuje mimo wszystko..., ktoś idzie naprzeciw niego. Widzi niebieskie oczy... i kasztanowate włosy zebrane w filuterny koczek; tak, ona idzie ku nie-

mu. Przyspiesza kroku, prędzej, prędzej, nie może już szybciej, coś ją zatrzymuje. Idzie, a jednak stoi w miejscu... robi mu się gorąco, pot zlewa mu całe ciało..., niebieskie oczy patrzą na niego spokojnie z jakimś beztrudnym uśmiechem... Jadwiśka, Jadwiśka..., Jadwiśka..., — wszystko znikło.

Skarszewski obudził się oddychając ciężko. Ciemno wokół, cały dom śpi. Za oknem leje. Deszcz jakby złośliwie uderza po szybie okiennej. Krople łomocą, dudnią, jakby chciały doprowadzić do szaleństwa. Skarszewski czuje pulsowanie w żyłach i ból głowy. Jaadwiśka, Jadwiśka — usta poruszyły się same po to tylko, by matwy szept przeleciał przez ciemność pokoju. Wsuwa rękę ku lampce nocnej. Wątle światło zalewa pokój. Mężczyzna przeciera oczy i unosi się na posłaniu. Przez chwilę siedzi tak bez ruchu wpiwszy oczy niewidzącym spojrzeniem w przeciwną ścianę — szarą, niezmienną ścianę. Wszystko wiruje mu w myśli, gmatwanina wrażeń, wspomnień, bólów i niewstrzymaną beznadziejnością. Po co?... Pyta sam siebie, lecz szare ściany nie mogą dać mu na to odpowiedzi. Szuka czegoś nerwowo, wstaje z łóżka i przewraca kieszenie marynarki. Niemal wyrwa z niej portfel i otwiera. Drżące palce natrafiają wreszcie na fotografię. Jest już taka wyblakła, a przecież, to ona jest na niej. Ze zdjęcia patrzą na niego te same oczy co we śnie. Usta lekko uśmiechnięte na tej młodej 19-letniej twarzy, a w oczach ten wieczny wyraz zadumy, jakby woalu zrzuconego na prostotę spojrzenia. Wpatruje się w te oczy i ulega złudzeniu, że i one na niego patrzą. Na twarz przychodzi bezwiedny uśmiech. Jakieś zapomnienie, na moment, ogarnia majora. Lecz już realizm beznadziejności przerywa tę nić błogiej myśli. Przeciera oczy ciężkim ruchem i wolno odkłada fotografię na nocny stolik. Gasi światło i opiera się o poduszki wyciągając się na łóżku. Krew pulsuje mu gwałtownie i czuje jakby miarowe uderzenie w skroniach.

Deszcz leje. Nic tylko ta szara symfonia płynących strug — monotonna, jednostajna, przeciągła i zawodząca, jak zbity pies, wyjący w ciemność, jak los zaniechany, zniweczony, daremny, głoszący tylko

swoją nieubłaganą rzeczywistość. Gdzieś w czerni ulicy płynie długimi chodnikami woda — płynie bez końca, tak jak ten los — przez kanały, brudne, puste jezdnie, wśród śmieci, nasiąka brudne papiery, rozmacza grudki ziemi, zalewa gdzieś leżącą zdechłą mysz i płynie dalej dalej...

Majorowi puls się nieco uspakaja po kilkunastu długich, jak męka minutach i zostaje tylko to przedziwne i nieokreślone uczucie, jak gdyby człowiek leciał w przestrzeń, nie mając na to żadnego wpływu — to uczucie bezsilności, które gdy przyjdzie, potrafi zniszczyć wielu i odebrać sens życia, sparaliżować akcję, zabić... Major przeciera czoło pokryte drobnymi kropelkami potu. Oczy ma wciąż otwarte i wpatruje się z uporem w otaczającą ciemność. Raz jeszcze — po co? Rozum mówi: nie myśleć, lecz cała reszta, cały żywy byt trzyma się kurczowo tego co razi, jak tępym żelazem i tumani zabraną dawno, brutalnie wydartą, przeszłością. Deszcz ciągle leje, beznamiętnie, przeciagle, nieustępliwie i splywa brudnymi zimnymi strugami po domach i ulicach, przepaja uśpione, obojętne miasto.

Rano wstało koszarne. Ból głowy nie opuszczał majora ani na chwilę, czuł dreszcze po całym ciele i nieprzyjemną słabość serca. Wstał jednak jak zwykle i zjadłszy śniadanie wyszedł na spacer. Było mokro i ślisko choć deszcz ustał we wczesnych godzinach rannych, a świeże powietrze mimo przejmującego chłodu nieco go postawiło na nogi i poprawiło samopoczucie. Wstąpił na moment do pobliskiego kościoła, pustego o tej porze i cichego i postać chwilę, patrząc w samotnej zadumie na ołtarz; czuł, że poruszenie, które nim władnęło po przebudzeniu się w nocy już minęło i był na pozór znowu spokojny, jak zawsze. Ból głowy ustąpił wreszcie zupełnie i choć czuł się trochę słaby jeszcze, nie mu właściwie nie dolegało. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem po pustych ławkach i wyszedł.

Dzień iskrzył się kroplami spadłego deszczu, a coraz mocniejsze promienie słoneczne zsyłały jakąś niepojętą wesołość na świat. Poczul się raźniej i pojechał jak dnia poprzedniego do Westminster. W kolejce podziemnej było już coraz więcej ludzi, a gdy wyszedł na ulicę ruch

codzienny zaczynał się już najwyraźniej. Poszedł ku swemu ulubionemu zieleńcowi. Pusto tu było zupełnie, jak tam w kościele, tylko świeżej i weselej, więc pospacerował tu i tam, przez jakieś pół godziny, potem przeszedł mostem na drugą stronę rzeki, przeszedł się aż do budynku filharmonii wzdłuż szerokiej promenady. Tam też pokreślił się trochę wokół martwego i szarego kształtu filharmonii aż wreszcie przystanął na długi kwadrans przy podmurowaniu i patrzył na leniwą wodę martwo i bezmyślnie, usiłując wmówić w siebie spokój i gnuśne zainteresowanie kolorem rzeki. Sam nie wiedział, jak szybko przeleciał mu czas do obiadu i wtedy z ulgą poczuł głód. Powrócił więc do Parlamentu i udał się do jednego z pobliskich barów.

Lokal nie był przepełniony, ale siedziało w nim przecież kilka osób w nastroju raczej leniwie ospałym, kiedy to się siedzi tylko po to, by od czasu do czasu zamaczać wargi w szlance stojącej przed nimi na stoliku i zamienia się jedno słowo na 10 minut, patrząc przez wielkie szyby na ulicę. Major znalazł sobie miejsce i zamówił pierwszą z brzegu zakąskę i filiżankę kawy. Kończąc już jedzenie podłuchał nagle, jak dwaj młodzi ludzie przy sąsiednim stoliku zamienili kilka słów po polsku, więc spojrzął ku nim ukradkiem. Siedzieli wygodnie rozparci, z wesołymi twarzami, pociągając z fajek i patrzyli na widoczne przez okno baru budynki parlamentu. Poczul do nich sympatię, bo rodacy, tacy młodzi i rozbawieni swą beczynną rozmową. Chciał do nich coś powiedzieć, ale w tej chwili siedzący niedaleko mężczyzna, widać niezbyt zadowolony z ich dosyć długich włosów przemówił również po polsku — „No i co młodziu, nuda co?” Głos nieznanego zabrzmiał nieprzyjemnie i wyzywająco. Jeden z młodzieńców skrzywił usta z niesmakiem, lecz drugi odwrócił się do mówiącego i z pytającym wyrazem twarzy odparł: „Dlaczego nuda, bardzo interesujące życie”. Major S. jednak już nie słuchał i szybko zapłaciwszy, wyszedł, czując jakby uczucie winy za tamtego Polaka.

Ruszył wzdłuż trotuaru wolno. Znowu myśli męczące zaczęły go nawiedzać, przypomniał mu się sen i

niebieskie oczy ogarnęły jego umysł. Jadwiś, gdzieś ty teraz — szepnął do siebie. Czuł, że serce mu się ścisnęło, a w gardle coraz trudniej oddychać. Był w zupełnej pustce, wszystko wokół stało się szare. Szedł z głową spuszczoną i nawet nie wiedział, gdy wszedł na przejście przez ulicę... Ktoś krzyknął..., zgrzyt gwałtownie przyciskanych hamulców. Kilka osób rzuciło prędkie bezładne słowa, ruch się zrobił. Krew szybko przesiąkała popielatą, dwurzędową marynarkę...

BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

Powieść

Cena: 15 sh, 2.25 dol. 9.00 F.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

WYDARZENIA MARGOWE 1968

Wybór dokumentów z przedmową
prof. Zygmunta Baumana

Cena: 25sh.; 15.00 F.; 3.75 dol.

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6
„MATKI I ŻONY“ 18/6
„MIĘDZY LONDYNEM
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:
KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

i wszystkie kioski i księgarnie
polskie

S N Y

Osiągnięcia nauki zwiększają się niemal codziennie, ale jak wiele istnieje dotąd zagadnień niewytłumaczonych. Do nich należą sny, senne marzenia.

Któż nie miał snów, czasem całkowicie jasnych, zrozumiałych, czasem dziwnych, fantastycznych, stwierdzających nieznanne jeszcze śpiącemu, a już zaszły fakty, snów ostrzegawczych, proroczych? Komu się to nie wydarzyło? Kto nie szukał i nie znalazł wyjaśnienia? Dowodem zainteresowania się snami są niepoważne, a mimo to popularne, szczególnie wśród prostaków, przeróżne senniki, są liczne, cieszące się praktyką wróżki.

Badanie istoty snów jest stałym przedmiotem dociekań psychologów i psychiatrów. Zajmowali się tym Freud, Wundt, Krafft i Ebing. Istnieją co do snów różne hipotezy, ale nic pewnego. Obecnie wśród psychologów i psychiatrów jest używane hipotetyczne sformułowanie istoty snów, jako iluzorycznych lub halucynacyjnych doznań, które są przyjmowane jako realne lub egzystujące w czasie, gdy się zdarzają.

Takie jednak sformułowanie nie może być uznane za wyczerpujące zagadnienie snów.

Co znaczy twierdzenie, że doznania są iluzoryczne albo halucynacyjne?

Iluzją jest błędne tłumaczenie sobie realnego zjawiska dostępnego zmysłom, uznanie czegoś za coś, czym nie jest.

Halucynacją jest wiara w istnienie rzeczy, które nie mają realnej egzystencji.

Występujące w snach doznania możnaby uznać za iluzoryczne lub halucynacyjne, gdyby przyjąć, że sen odbywa się bez pozbawiania śpiącego świadomości (przytomności), dopuszczającej halucynacje (np. fata morgana) lub iluzje (tak zwane omamy wzrokowe).

Wypadałoby jeszcze dodać, że w snach miewa się widzenia — bez udziału aparatu wzrokowego — i że nawet widzenia, te pozostają w pamięci i po przebudzeniu się.

Wreszcie, czasami śpiące osoby

mówią, a po przebudzeniu się nie wiedzą, że przez sen mówiły, lecz dowiadują się o tym od osób, które przemówienia te słyszały.

Na przykład ja, gdy byłem sądownikiem na Syberii i, leżąc w łóżku, obmyślałem swe przemówienia, które, jako oskarżyciel, miałem na jutro wygłosić, po zaśnięciu te przemówienia wypowiadałem, a po przebudzeniu się dowiadywałem się o tym od osoby (żony), która owe przemówienia słyszała.

Ujawniająca się w przysłowiach mądrość ludowa łatwo sobie poradziła z rozwiązaniem zagadnienia sennych marzeń. Polskie przysłowie mówi: sen mara, Bóg wiara. Lecz i przysłowia mogą się mylić.

Słowo „mara“ znaczy tyle co widmo, czyli coś nierealnego. A wszakże już w biblii mamy cytowany sen, który nie był tylko widmem, ale przepowiednią tego, co stać się miało i co się stało. Według pierwszej księgi Mojżeszowej, rozdział XXI, sen przepowiedział lata urodzaju i następne lata głodu. I tak stało się, jak sen przepowiedział. A zatem nie okazał się marą.

Przytoczę przykład własnego snu.

W 1926 roku mój syn po uzyskaniu matury postanowił przed studiami wyższymi odbyć służbę wojskową. Wstąpił do 1-go dywizjonu artylerii konnej i był wysłany do podchorążówki rezerwy artylerii. Miał ze sobą nabyte przeze mnie w Warszawie eleganckie buty z cholewami. W nocy z 31 października na 1 listopada 1926 r. wyraźnie mi się śniło, że synowi owe buty ukradziono. Rano 1 listopada rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych do mego mieszkania na Żoliborzu i zjawił się mój syn. Oznajmił: — skończyliśmy okres rekrucki, awansowałem na bombardiera i dostałem dwudniowy urlop do domu.

Rzuciło mi się w oczy, że syn był w typowych ciężkich, „komiśnych“ butach.

— Ukradli ci buty? — zapytałem.

— W okresie rekruckim musieliśmy chodzić w „komiśnych“ butach, a własne oddać na przechowanie do magazynu. Na urlop pozwolono je-

chać we własnych butach. Ale okazało się, że moje buty z magazynu ukradziono. Lecz skąd ty o tym wiedziałeś?

A więc sen ujawnił mi dokonanie kradzieży.

Po tych uwagach, w pewnej mierze laika w sprawach z zakresu psychologii i psychiatrii przechodzę do opowiedzenia o pewnym śnie i dotyczących okolicznościach.

Dnia 9 stycznia 1900 r. w mieszkaniu studenta medycyny Moczarskiego przy ulicy Chmielnej w Warszawie zebrali się przedstawiciele tajnych kółek gimnazjalnych w b. Kongresówce i na Litwie celem odbycia dorocznego zjazdu. W parę minut po rozpoczęciu obrad zjazdowych do pokoju, gdzie się odbywały, wkroczył podpułkownik Sałamatow z żandarmami i policją. Uczestników zjazdu przewieziono do komisariatu policji i miejscowych, oprócz jednego, późnym wieczorem doprowadzono do ich mieszkań. Tym jednym był Mieczysław Dębski, którego wraz z zamiejscowymi uczestnikami zjazdu zatrzymano w areszcie policyjnym przy ulicy Daniłowiczowskiej i po paru tygodniach wszystkich, oprócz Dębskiego, wypuszczono. Dębski zaś był przewieziony do X pawilonu w Cytadeli, gdzie przebył parę miesięcy. W jakiś czas później Dębski wyjechał do Belgii na studia w instytucie leśnym. W okresie studiów Dębski bywał na wakacjach w Warszawie, ale ze względów politycznych przyjeżdżał za belgijskim paszportem na cudzoziemskie nazwisko. W czasie jednego z pobytów w Warszawie Dębski na ulicy Kruczej natknął się na płk. Sałamatowa. Ten Dębskiego poznał i zwrócił się do niego: — dzień dobry panie Dębski. Na to Dębski po francusku odpowiedział, że widocznie zachodzi omyłka, bo on jest Belgiem. Sałamatow bez dalszej rozmowy poszedł dalej. Dębski w tymże dniu Warszawę opuścił, obawiając się niepożądanych skutków spotkania.

Po upływie paru lat idącemu w Warszawie po ulicy płk. Sałamatowi jakiś osobnik wbił w tylną część szyi sztylet i Sałamatow wskutek przecięcia wielkiego naczynia krwio-

nośnego i upływu krwi na miejscu zmarł. Mordercy nie złapano ani nie ustalono, kto nim był.

Wkrótce po tym morderstwie Dębskiemu, który wtedy już znowu mieszkał w Warszawie, we śnie ukazał się Sałamatow i oświadczył: — panie Dębski! Wszak ja nie byłem tak zły, żeby mnie mordować. Wtedy przy spotkaniu naszym przy ulicy Kruczej ja nie miałem wątpliwości, że to był pan, a nie żaden cudzoziemiec, i jednak nie zatrzymałem pana, chociaż mogłem to, a może nawet powinienem był to uczynić. Zwykle organizacja bojowa P.P.S. skazanemu przez nią na śmierć posyła wyrok. Ale mnie, chociaż nie najgorszemu z żandarmów, żadnego wyroku nie przysłano. Gdybym wyrok dostał, to potrafiłbym się ustrzedz napadu. Ale mnie tak zdradziecko zamordowano. Ja się skarżę panu, panie Dębski.

Dębski nie należał do P.P.S., ale stykał się z jej członkami. W związku ze snem Dębski zasięgnął informacji i dowiedział się, że organizacja bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej nie wydała wyroku na Sałamatowa i nie wie, kto go zamordował. Sprawcy nigdy nie wykryto.

W późniejszym czasie Dębski był w Brazylii i odwiedził zamieszkałego w Kurytybie swego przyjaciela Romana Krzesimowskiego. Ten Krzesimowski ukończył w roku 1904 wydział przyrodniczy uniwersytetu w Warszawie, był aresztowany i za udział w P.P.S. skazany na 4 lata katorgi. Ale przed wysłaniem na katorgę symulował w więzieniu obłęd, był skierowany do szpitala i stamtąd udało mu się zbiec i wyjechać do Ameryki. W stanie Parana miał winnice i prowadził wyrób wina. Dowiedziawszy się od Dębskiego o morderstwie Sałamatowa Krzesimowski opowiedział Dębskiemu co następuje.

— Kiedy siedziałem w więzieniu na Pawiej w Warszawie (tak zwany „Pawiak”), jeden z więźniów kryminalnych, zawodowy bandyta, opowiedział mi o zabójstwie Sałamatowa. Po odsiedzeniu kary za jakieś przestępstwo więzień ten kontynuował swą działalność w Warszawie. Lubił on „mokrą” robotę. Pewnego razu, idąc po ulicy, zobaczył oficera żandarmerii. Ten oficer miał potężny kark i bardzo żyłastą szyję. W bandycie powstała jakaś żywiółowa

chęć załatwienia się z tym wrogiem Polski, jakim musiał być żandarm. Sprężynowym nożem ugodził żandarma w szyję i zdołał zbiec. Z gazet dowiedział się, że zabił pułkownika Sałamatowa. Nigdy tego nie wykryto, że to on zadźgał fijoła (żandarma).

A więc skarga pośmiertna Sałamatowa, zakomunikowana Dębskiemu we śnie, była zasadna — zamordowano go bez wyroku.

Dębski i Krzesimowski kilka lat temu umarli.

Chyba się nie mylę, uważając, iż zagadnienie snów jest dotąd otwarte.

WIELKIE ROCZNICE WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI we wrześniu obchód w Londynie

Kampania wrześniowa i rok 1944 były latami największego w ciągu ubiegłej wojny wysiłku polskiego żołnierza na różnych frontach.

We Włoszech Drugi Korpus, po ciężkich bojach, ukoronowanych zwyciężeniem Monte Cassino, walczył zwycięsko nad Adriatykiem oraz w Apeninach.

We Francji Pierwsza Dywizja Pancerna przyczyniła się wydatnie do okrążenia i rozbicia armii niemieckiej pod Falaise, wyzwalając następnie szereg miast w Belgii i Holandii.

Udział Brygady Spadochronowej w bitwie pod Arnhem był pierwszą ciężką próbą najmłodszej polskiej broni.

Lotnictwo i marynarka kontynuowały z honorem swój nieprzerwany udział w zmaganiach ze śmiertelnym wrogiem.

Ale nie tylko za granicą walczył w 1944 roku żołnierz polski. Armia Krajowa również rozwinęła w tym czasie działania bojowe na wielką skalę. Ich punktem szczytowym było Powstanie Warszawskie, w którego zdławieniu raz jeszcze milcząco współdziałali wspólnicy najazdu na Polskę — Niemcy hitlerowskie i Rosja Sowiecka.

Rok 1944 wywodził się z września 1939 roku; był dalszym ciągiem walki, którą Polska wówczas samotnie podjęła, a następnie prowadziła na polach walk Norwegii, Francji oraz Tobruku i pustyni Libijskiej. Walki te były dowodem, że mimo klęski naród nasz nie skapitulował i z niewolą się nie pogodził.

Jest naszym obowiązkiem, z okazji trzydziestolecia kampanii wrześniowej i ćwierćwiecza bojów z 1944 roku, złożyć hold tym, którzy życie za Ojczyznę oddali, a młodemu pokoleniu przypomnieć ich czyny, tak by pamięć o nich nie zaginęła, a była jak pochodnia wolności przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Zebrani na zaproszenie gen. Andersa przedstawiciele organizacji kombatanckich i społecznych wyłonili Komitet obchodu w Londynie pod przewodnictwem gen. Stanisława Kopańskiego.

W niedzielę dnia 28 września odbędzie się wielka manifestacja narodowa w Albert Hall'u w Londynie. Powinna ona, podobnie jak uroczystości milenijne, zgromadzić przedstawicieli całej niepodległościowej społeczności polskiej na obczyźnie. Powinna złączyć tradycję pokolenia odchodzącego — tych, co o wolność walczyli, z nadzieją młodych polskich szeregów, które wierzymy w to święcie, wolności się doczekają.

„Poległym na chwałę — żywym na otuchę!”

PREZYDIUM KOMITETU

**PROSIMY
O ODNOWIENIE PRENUMERATY
ZA DRUGI KWARTAŁ**

P L A N P. T.

W gabinecie panowała cisza, jeszcze bardziej podkreślona lekkim szmerem długopisu, którym prezydent podpisywał leżące na biurku papiery. Stawiając jedną ręką swój zamaszty podpis, drugą usiłował bezskutecznie spędzić uprzykrzoną muchę, która upatrzyła sobie ogórkowaty prezydencki nos na miejsce przechadzki.

Skończywszy podpisywać prezydent nacisnął dzwonek.

W drzwiach ukazał się wierny Machmud Ali Osko Omar ben Jusuf Bab el Mandeb abu Dżinh Hadzi Nadzi, którego dla potanienia kosztów druku będziemy krótko nazywać Machmudem.

— Wpuszczać! — krótko rozkazał prezydent.

— Bah! — odpowiedział jeszcze krócej Machmud.

— Nie rozumiem — żachnął się prezydent — przecież dziś mamy dzień przyjęć.

Machmud otworzył szerzej drzwi i wskazał w recepcyjnej sali szereg pustych foteli.

— Radziłbym wykorzystać wolny czas i pójść na przechadzkę. Chamsin już minął i od Nilu powiewa świeżym wiatkiem. Taki wiaterek to czyste zdrowie...

— Zdrowie..., a mnie cukier podskoczył, — gdzie lecisz Machmud?

— Cukier podskoczył, więc chciałem zadzwonić do żony, żeby zrobiła zapasy...

— To nie ten cukier od Fidelia — uśmiechnął się smętnie prezydent — to „mój“ cukier. Trzeba będzie znów na kurację do bratniego narodu.

— Ja bym tam nie ryzykował. — wzruszył ramionami Machmud. — Już byli tacy, którzy pojechali na kurację i wrócili w drewnianej skrzynce.

— Byłem tam raz i wróciłem na własnych nogach. Mnie nic nie może się stać. Jestem im za dużo winien. Cztery miliardy, jak szakalowi w kuper, to nie żarty.

— Tz, tz, tz, — zacmokał z pożalowaniem Machmud. — To znaczy, że ze spacerku nic nie wyjdzie. A szkoda. Chwilami tak chciałoby się pobrodzić na bosaka w ciepłym błocie i posłuchać jak kumkają żabki.

— Zrozum Machmud, nie mogę sobie pozwolić na żadne prywatne spacerki, nie mogę sprzeciwić się swej zasadzie „Nasz klient, nasz pan“...

— Myślał prezydent „nasz towarzysz“ — sprostował natychmiast wierny Machmud.

— Towarzysz — słusznie — ma się jeszcze te drobnomieszczkańskie naleciałości — ale zrozum — mamy przecież Zjednoczoną Republikę, miliony obywateli i może się przecież znaleźć ktoś z prośbą, zażaleniem, żądaniem. Może się również zjawić ktoś z poselstwa, którzy z ekspertów, instruktorów, doradców, korespondentów, łączników, kalkulatorów, projektodawców, wykonawców, realizatorów, zarządców, finansistów, ekonomistów, geologów, geodetów, geometrów, zootechników, radiotechników, hydrotechników, balistów, batalistów, pyrotechników... Namnożyło się przecież tego tyle, jak pluskiew...

— Bah — odparł wierny Machmud z rezygnacją i otarłszy nos w połę burnusa, cicho zamknął za sobą drzwi.

Zostawszy ze sobą sam i z myślami swymi prezydent podszedł do okna i bezmyślnie obserwował, to pusty plac przed pałacem, to grupę strażników, którzy zdjawszy buty, z ulgą kucnęli wokoło nargila i z przymróżonymi oczyma pykali wonny dymek.

Nagle szerokim łukiem zajechała przed same schody taksówka, z której, jak z procy, wyskoczył tajemniczy pasażer z twarzą okręconą, aż po przysłonięte czarnymi okularami oczy kraciastą kefiją.

Nerwowo gestykulując tłumaczył coś komendantowi straży, który wreszcie zawodowo oklepawszy go w poszukiwaniu ukrytej broni, wskazał drogę, w górę po schodach.

— Salam przybyszu — powitał go prezydent przykładając rękę do czoła, ust i piersi.

Ale przybysz nie zwrócił uwagi na powitanie tylko położywszy palec na wargach szepnął: — Cicho! Ścigają mnie!

— Kto

— Agencji Izraela.

— Tu jest pan zupełnie bezpieczny — uspokoił go prezydent. — Ale dlaczego obawia się pan agentów?

— Chcą mi wykraść plan P.T. Jest to pierwszy element planu L.I. Plan P.T. oznacza „Pustynię Telawiwską“.

— Już domyślam się co dalej. Plan L.I. to „Likwidacja Izraela“ — ucieszył się prezydent. — A kim pan jesteś?

— Aleksander Wjelki — odrzekł zapytany, zadzierając dumnie głowę, jak kogut, który ma zamiar zapiać. — Ale to tylko pseudonim. Moje nazwisko to Napoleon.

— Napoleon — zgodził się prezydent — nie najgorsza marka, zwłaszcza ta, z czterema gwiazdkami.

W międzyczasie gość zdołał oblecieć gabinet, pozaglądać do wszelkich okien, dziurek od kluczy, popod fotele i wsadzić nawet nos do wentylatora. Uspokojony kontynuował dalej:

— Jestem specjalistą od energii atomowej. Plan P.T. to wynalazek wojenny.

— Wojenny? — zachłysnął się prezydent. — Dawaj pan. Nie możemy już więcej opierać polityki na straszaku atomowo-rakietowym. Musimy mieć koniecznie nową „Wunderwaffe“.

— Mam właśnie taką „Wunderwaffe“ — zagdakał, jak kura, gość. — Polega na tym... — znów obiegl w podskokach gabinet, pozaglądał do dziurek od kluczy i usiadłszy po turecku na fotelu zapiał — Kike-riki!

— Panie, co panu? — Zaniepokoił się prezydent.

— To nic — uspokoił go przybyły — to mój system autosugestii, pomaga mi się skupić. A więc mój wynalazek atomowy, to wykorzystanie reakcji łańcuchowej, ale na odwrót, w kierunku malejącym. U mnie nie ma wybuchu u mnie jest zanik..

— Zanik czego?

— Materii. Kurezy się ona do takich rozmiarów, że w praktyce nie zostaje nic. Niech pan sobie wyobrazi, panie prezydencie, że rzucamy bombkę na przykład systemu Minus A na miasto, powiedzmy, półmilionowe. Bombka pada i miasta już nie

ma. Nie ma nic, tylko pustynia. Zniknęły domy, drzewa, urodzajna ziemia — wszystko.

— To nie trzeba jechać czołgami przez Synaj, atakować samolotami, głosić świętej wojny, ani spychać Izraelczyków do morza?

— Nic, nie trzeba, gdyż nikogo nie będzie. Wszystko skurczy się do niewidocznych granic, zniknie wszystko co ma jakikolwiek związek z życiem, gdyż ziemia wróci do okresu, kiedy na niej nie było żadnego życia. Gugul... kokokoko... kikeriki! — zakończył przybysz, skacząc na fotelu i bijąc się po udach.

— Kikeriki... — podskoczył również z uciechy prezydent, ale w porę się jeszcze zreflektował i usiadł. — Panie, panie Napoleon, akceptuję w całości pański wynalazek, co do planu, to prześlemy go naszemu ministrowi wojny, pan zaś otrzyma rangę generała i 5% od eksploatacji wynalazku, który...

Podniesione głosy w salonie recepcyjnym przerwały dalszy ciąg. Przybysz nastawił uszu i nagle dał nura pod biurko.

— Ratunku! Izraelczycy przyszedli po mnie — syczał zduszonym szeptem.

Prezydent nacisnął ze strachu wszystkie guziki alarmowe z przeciwpożarowym włącznikiem. Zanim jednak uzbrojeni strażnicy ochrony wkroczyli do gabinetu, otworzyły się gwałtownie pchnięte drzwi i dwóch roślących mężczyzn, w białych fartuchach z czerwonym półksiężycem na piersi, wpadło włokąc za sobą nosze.

— Gdzie on jest? — krzykali — on wszedł tu przecież.

W mig wyciągnięto skulonego pod biurkiem wynalazcę, fachowo przykrepowano go do noszy i wyniesiono z gabinetu. Starszy pielęgniarz zwracając się do prezydenta powiedział z ulgą:

— Allah, co za szczęście, żeśmy go wreszcie znaleźli.

— Co się tu dzieje — dziwił się prezydent.

— Przecież to niebezpieczny wariat — wyjaśnił pielęgniarz. — On uciekł nam przedwczoraj jeszcze ze szpitala, wyrzucił pielęgniarkę przez okno, odgryzł nos lekarzowi. Widziano go następnie jak przed ambasadą rosyjską tańczył kozaka na przemian z tańcem derwiszów i przyśpiewywał:

Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

EKSPORT SOWIECKIEJ NAFTY I JEJ PRZETWORÓW

Spółród 309 milionów ton ropy naftowej, wydobytej w ZSSR w ub. roku eksportowano zagranicę aż 82 miliony ton, w tym 57 milionów ropy i 25 milionów ton przetworów. Większa część tego eksportu poszła oczywiście do krajów satelickich, przy czym PRL i NRD zapatruje głównie wykończony już rurociąg, prowadzący przez Płock do Schwedt nad Odrą, jednak eksport do kilku krajów Zachodniej Europy, głównie do Włoch, Francji, NRF, Finlandii i Szwecji, także stale wzrasta.

ROZROST KLUBU ATOMOWO-WODOROWEGO

Że założycielem tego „klubu“ były Stany Zjednoczone, powszechnie wiadomo. Wiadomo również, że dokonały pierwszej eksplozji atomowej w lipcu 1945 w Newadzie, by w miesiąc później dwoma bombami zniszczyć Hiroszimę i Nagasaki. Zatarły się natomiast w pamięci daty pierwszych eksplozji atomowych przeprowadzonych przez pozostałych czterech członków tego najbardziej elitarnego klubu. Dlatego warto je przypomnieć: Otóż Sowiety dorobiły się (dzięki różnym Fuchsom i Pontecorvom) bomby atomowej już w 1949, gdy W. Brytania dołączyła w 1952, a Francja nawet dopiero w 1960, ale bądź jak bądź o cztery lata wcześniej niż Chiny.

Kolejność dokonania pierwszych wybuchów wodorowych przedstawia się podobnie, z tym, że Chiny wyprzedziły Francję o jeden rok. Oto szczegóły świadczące o tym, że oba państwa komunistyczne stosunkowo najszybciej przemierzyły drogę od bomby atomowej do bomby wodorowej: Ameryka (październik 1952, czyli po 7 latach), Sowie-

— Ech, kalinka maja. Rubel nasz Allah!

Od 48 godzin nie spaliśmy, dwa dni i dwie noce szukaliśmy go.

Wróciwszy do swego stanowiska przy oknie, obserwował prezydent, jak ładowano nosze z niedoszłym generałem, wynalazcą, do karetki pogotowia.

— Co za pech — westchnął prezydent — zjawia się facet z takim genialnym planem, z takim boskim wynalazkiem — i potem okazuje się, że to wariat.

— Bah! — powiedział wierny Machmud.

ty (sierpień 1953, czyli po 4 latach), Wielka Brytania (maj 1957, czyli po 5 latach), Chiny (czerwiec 1967, czyli po zaledwie 3 latach) oraz Francja (sierpień 1968, czyli po 8 latach od dokonania pierwszej eksplozji atomowej).

PRZYKRA OMYŁKA „NIEZAWODNEGO“ KOMPUTERA

Biuro ewidencyjne i płatnicze R.A.F., mieszczące się w Innsworth pod Gloucester, posiada ponoć najnowocześniejszy komputer, który kosztował milion £ i rzekomo wyprzedza komputery amerykańskie o 5 lat. W ciągu jednej sekundy potrafi dodać 250.000 dziesięciocyfrowych liczb lub podaje szczegółowe dane o każdym spośród 93.000 lotników, zawarte w zaledwie 6 zwojach taśmowych. Tym większa była konsternacja, gdy ta fenomenalna maszyna zdyskwalifikowała jednego lotnika dlatego, że jest w stanie odmiennym, a drugiemu, który pełni funkcję cieśli oddziałowego, przyznała oznakę pilota. Omyłki te oczywiście, położono na karb personelu obsługującego.

TONAŻ FLOT HANDLOWYCH

Podług danych „Lloyd's Register of Shipping“, opublikowanych pod koniec ubiegłego roku, tonaż flot handlowych 22 państw przodujących w tej dziedzinie, wzrósł w ubiegłym roku o 12 milionów ton BRT. W kolejności ich tonażu nastąpiły znaczne przetasowania, spowodowane przede wszystkim forsowną rozbudową floty japońskiej i sowieckiej oraz przesuwaniami (ze względów podatkowych) coraz liczniejszych statków amerykańskich i greckich pod flagę Liberii, która wskutek tego wysunęła się na pierwsze miejsce, gdy Stany Zjednoczone, które stosunkowo mało nowych statków budują, spadły na trzecie miejsce.

Oto obecna kolejność i pojemność 22 największych flot handlowych: Liberia (25,7 milionów ton, Wielka Brytania (21,9), Stany Zjednoczone (19,7), Norwegia (19,6), Japonia (19,5), Sowiety (12,1), Grecja (7,4), Włochy (6,6), Niemcy Zachodnie (6,5), Francja (5,8), Holandia (5,2), Panama (5,1), Szwecja (4,8), Dania (3,2), Hiszpania (2,8), Kanada (2,4), Indie (1,9), Polska (1,3), Brazylia (1,3), Jugosławia (1,2), Argentyna (1,2) i Finlandia (1,1). Jak widzimy, Polska znajduje się na 18 miejscu, ma jednak (po Japonii, Sowietach i NRF) bodaj największy procent statków powojennych.

Kage

GAWĘDA LEKARSKA

CZY PACJENT POD NARKOZA SŁYSZY?

Od kilku już lat chirurdzy, przeprowadzający operacje na głęboko uspiętym pacjencie, zastanawiali się, czy jednak pacjent, mimo narkozy, nie odbiera dźwięków w stopniu dostatecznym, by rozumieć o czym mowa nad operacyjnym stołem?

Obecnie potwierdzenie tej teorii, opartej na obserwacjach setek uspiętych chorych, przynosi referat doktora Raymond La Scola, włoskiego chirurga. Cytuje on w swym niezmiernie ciekawym referacie przypadek pewnego 55 letniego mężczyzny, który cierpiał na zagadkowe schorzenie: oto za każdym razem, gdy wdychał powietrze przez nos, a nie przez otwarte usta — odczuwał bóle w nasadzie nosa, które nieraz doprowadzały go do omdlenia. Szczegółowe badania kliniczne nie wykryły przyczyny spazmów bólu. Sam pacjent natomiast, odkrył sposób na ulżenie sobie w swym tajemniczym z punktu widzenia medycznego przypadku: poprostu pakował sobie do nosa pokłady waty, aby nie móc oddychać inaczej jak przez otwarte usta.

Dr La Scola, po szczegółowych badaniach, użył wreszcie hipnozy. I oto we śnie hipnotycznym nieszczęsny pacjent przyznał się, iż niezrozumiałe ataki bóleści przy wdychaniu przez nos datują się od chwili operacji, jaką przeszedł dla oczyszczenia przegród nosowych 10 lat temu.

Pacjent stwierdził, że chociaż uspięty, usłyszał wyraźnie, leżąc na operacyjnym stole, następujące słowa starszej siostry: „Wszystko jedno jak czyste powietrze będzie wdychać; śródziemnomorskie, alpejskie, czy po prostu jego rodzinnego miasta Mediolanu — zawsze odczuwać będzie te nieznośne bóle w zatoce Heimora. No i oczywiście, będzie też cierpiał na bóle głowy...“.

Pacjent, rzecz jasna, nie miał świadomej pamięci tego co usłyszał. Ale w podświadomości nieostrożne słowa siostry salowej pozostawiły niezatarty ślad. Dr La Scola, usłyszawszy to zeznanie pod hipnozą, już na drugim seansie z nieszczęsnym pacjentem, który właśnie ponownie przechodził przez kryzys „niemożności oddychania przez nos“ — zasugerował, iż podświadomość chorego nie zarejestrowała następnych trzech słów siostry salowej a mianowicie: „... przez następnych kilka dni...“.

Łagodną perswazją pod hipnozą, dr La Scola „wytłumaczył“ cierpiącemu, iż podświadomość jego pomyliła się. Nie było bowiem mowy o stałym bólu

przy wdychaniu, a tylko o kilkudniowym.

Pacjent przestał wreszcie cierpieć na spazmatyczne okresy bólu. Po trzech miesiącach hipnozy został wyleczony z dolegliwości. Ale przypadek jego stworzył precedens: nie należy mówić o chorym przy chorym, najgłębiej nawet uspiętym najnowocześniejszą narkozą. Nie wiadomo bowiem, jakie niebaczne słowo chirurga usłyszy i jak je sobie w swej podświadomości zinterpretuje.

PAPIEROSY CZY CYGARA?

Statystyki obecnie potwierdzają to, czego mogliśmy domyślać się sami przed tym, bez pomocy statystyk: oto obawa przed rakiem płuc, spowodowanym przez palenie papierosów — wytworzyła nowego narkomana: narkomana cygar. Stany Zjednoczone mogą się od dwóch lat pochwalić konsumpcją cygar w wysokości 670 milionów rocznie. Zaraz za Stanami idzie Kanada: 470 milionów cygar, przy niższej palenia papierosów o 33 procent.

Ale „business as usual“, to znaczy: co stracimy na papierosach, zyskamy na cygarach. Lecz jak do nich zachęcić konsumenta?

Bardzo prosto: jak wiemy, znawca cygar — nie zaciąga się nimi. Trzeba mu wobec tego urozmaieć — dym. Obecnie przodujące firmy amerykańskie i kanadyjskie ofiarują dbałym o swe zdrowie palaczom: cygara o zapachu whisky, chartreuse, koniaku i benedyktyny. Nie mówiąc już o cygarach mentolowych. Te bowiem znane były od dawna.

DUŻE RODZINY CZY MAŁE?

Jeden z czołowych autorytetów lekarskich w Stanach Zjednoczonych „odbrązowił“ obecnie mit, że duża rodzina stwarza najbardziej sprzyjające warunki dla rozwoju indywidualnego obywatela i jest najlepszym otoczeniem dla każdego dziecka.

Dr Pames Liberman, pediatra i pionier amerykańskiego ruchu pod nazwą „Psychicznego Zdrowia Jednostki Rodzinnej“ stwierdza bez ogródek:

„Idealem zdrowej psychicznie rodziny — jest dwoje dzieci. Zarobki rodziców nie mają nic wspólnego z ich zdolnością do wychowania pozytywnej w sensie społecznym — rodziny, która w żadnym wypadku nie powinna przekraczać owej zakłętej cyfry: dwoje.

Wbrew temu co napisano dotychczas — dzieci pochodzące z wielorodzeństwowych komórek społecznych, nie są —

w 90 procentach na sto — bystre, odpowiedzialne czy inteligentniejsze — od tych, które wychowały się w rodzinach posiadających idealny wzór — dwojga rodzeństwa. Przeciwnie: jeżeli chodzi o chłopców z licznych rodzin, są oni nie tylko mniej inteligentni od swych dwojga pierwszych rodzeństwa, ale wymagają także więcej zachodów i starań, aby wyjść na ludzi. Prawdopodobnie kołysanie siostr czy braci nie wpływa dodatnio na formujące się ego przyszłego — powiedzmy — męża stanu, adwokata czy lekarza. Przeciwnie jak podają statystyki: większość młodych mężczyzn, odrzuconych przez wojskowe komisje Stanów Zjednoczonych, jako nie nadających się do służby wojskowej — pochodziła z rodzin posiadających czworo lub więcej dzieci. Cyfra ich wyrażała się w zawrotnej statystycznej skali 70 procent.

Z doświadczeń wielu lat badań wynika jasno — według dr Libermana — iż dziecko, pochodzące z licznej rodziny jest obciążone a priori w swych przyszłych możliwościach życia dojrzałego — przez zbyt małą uwagę poświęcaną przez rodziców dla dobra jego indywidualnego rozwoju. Emulacja z siostrami czy braćmi wpływa ujemnie na psychę potencjalnego geniusza, dziecko zaś o przeciętnych zdolnościach zwykle nie wytrzymuje konkurencji współzawodnictwa w kole rodzinnym. „Czas nadszedł — powiada doktor Liberman — aby stygmat, spoczywający na małej komórcie rodzinnej został nareszcie wyrugowany z intelektualnie dojrzałych społeczeństw. O wiele lepiej jest wychować dwoje dzieci dobrze — niż dwanaścioro — źle“. Te dwoje dzieci bowiem — według dr Libermana — i statystyk, którymi rozporządza — stanowić będzie dodatkniejszy wkład w świadome społeczeństwo, niż rzesze niedopieczonych (dosłownie), często niedokarmionych i prawie zawsze intelektualnie niedojrzałych obywateli, pochodzących z licznych, zatroskanych wyłącznie dniem dzisiejszym, a tym samym psychicznie niedojrzałych do społecznych obowiązków rodzin.

Mając na uwadze rodziny chociażby neapolitańskie, czyli jedne z najmniej uprzywilejowanych jednostek społecznych Europy — trudno się zgodzić z wywodami amerykańskiego lekarza. Z drugiej zaś strony, doświadczenia w krajach nieuprzywilejowanych, czyli np. wielu krajach afrykańskich — skłaniają człowieka myślącego do zastanowienia się nad teorią amerykańskiego uczonego.

J.T.L.

NIEBEZPIECZEŃSTWA POSTĘPU TECHNIKI

WIOSNA to bardzo niebezpieczny okres dla mężów. Nie, wcale mi nie chodzi o zakłócanie spokoju domowego przez czynniki zewnętrzne — że to niby, panie dobrodzieju, natura budzi się do nowego życia itd. Tego rodzaju niebezpieczeństwo zagraża stale tym, którzy się o nie dopraszają. Ja tam przygód nie szukam, wybitną urodą się nie odznaczam, mój stan majątkowy jest nieatrakcyjny, nawet głupiego samochodu nie mam, więc z tej strony niebezpieczeństwo mi nie zagraża. Ale na wiosnę w Londynie z reguły odbywa się rzecz, którą bez wahania nazywam wynalazkiem szatana. Mam na myśli Wystawę Idealnego Domu.

Już na parę tygodni przed otwarciem wystawy żona zaczyna z naciskiem odczytywać mi rozmaite drobne artykułiki i ogłoszenia, dotyczące nowych, a zgoła cudownych pomocy domowych, jakie na tej wystawie obejrzymy. Padają pod moim adresem codziennie pozornie niewinnie, a w gruncie rzeczy morderczym jadłem zatrute uwagi w rodzaju: „Trzypsztycka mówi, że jej nowy mikser jest po prostu niezbędny w gospodarstwie“, czy „Piszczkowska jest zupełnie oczarowana swoim nowym odkurzaczem. Oczywiście, stosując do tego rodzaju wojny podjazdowej metodę idealnej obojętności; co najwyższej kwitując usłyszane uwagi niezobowiązującym „Ach, tak?“, albo „Mhm“, ale równocześnie przygotowuję się starannie do długiej kampanii: dyskretnie przenoszę saldo rachunku bankowego do skrytki w materacu, o której żona — mam nadzieję! — nie wie; mówię dużo i z przejęciem o grożącej podwyżce podatku miejskiego; uskarżam się bezustannie na inflację i spadek siły nabywczej funta — słowem, działam w myśl wskazówek wielkich strategów pożycia małżeńskiego. Równocześnie zdaję sobie jednak sprawę z tego, że moja żona wie doskonale, o co mi chodzi. W ten sposób rozgrywamy co roku wiosenną kampanię, jak partie szachów, przewidując z góry wzajemne posunięcia. Ale wreszcie nadchodzi moment otwarcia wystawy i zaczyna się generalne natarcie przeciwnika.

— Byłam dziś z Krystyną (to znaczy z Sewilską) na wystawie Idealnego Domu — rozpoczyna ogień żona.

— Nie reaguję.

— Mają tam zupełnie fenomenalne rzeczy, wiesz? — ogień przeciwnika

wzmaga się. — Zmniejszają wysiłek o połowę, wkładany w pracę domową, a w dwójnasób zwiększają wydajność tej pracy.

Odpowiadam zaporą artyleryjską, skierowaną w newralgiczny punkt obronny nieprzyjaciela:

— Kochanie, przecież przy dwóch osobach w domu naprawdę nie masz tak dużo roboty? Co byś ty robiła z tym całym wolnym czasem?

Następuje eksplozja:

— No tak, ty chciałbyś, żeby twoja żona spędzała całe życie w kuchni, albo ze szczotką do zmiatania! A ja także jestem człowiekiem, chcę gdzieś wyjść, poczytać, popatrzeć na telewizję. Tobie się ciągle zdaje, że to jeszcze czasy wiktoriańskie, kiedy kobieta była niewolnicą domową! Itd., itd.

Po tych działaniach wstępnych dochodzimy wreszcie do sedna rzeczy i dowiaduję się, że chodzi np. o jakąś fenomenalną kuchenkę gazową, która sama się nastawia, sama reguluje temperaturę, gwizdże na panią domu, i wreszcie sama, w razie potrzeby, wyłącza się. I wtedy dopiero zaczynają się przewlekłe zmagania, zakończzone zazwyczaj rozsądnym kompromisem — zamiast nowej kuchenki żona dostaje nowy kostium i wszystko jest w porządku do następnego roku.

Ale w tym roku sprawą wygląda znacznie groźniej. Żona i Sewilka upatrzyły sobie wcale kosztowny system centralnego ogrzewania gazowego. Niby, że to w całym mieszkaniu są radiatory, że w każdej chwili ma się gorącą wodę w łazience i w kuchni, że można regulować temperaturę — utrzymywaną zresztą automatycznie na pewnej wysokości — zgodnie z własnymi życzeniami — słowem, żyć nie umierać! Jedyną niekorzystną stroną tej całej historii był koszt, idący w kilka setek funtów, z czego jasno wynikało, że tym razem byle kostiumem nie uda się mi wykręcić z całej afery. Nic dziwnego, że następnego dnia po wstępnym natarciu żon odbyliśmy z Józkiem Sewilskim w biurze poważną naradę, której z boku przysłuchiwał się z uśmiechem wyższości major Miecz-Szabliński. Ten, jako stary kawaler nie miał żadnych problemów tego rodzaju.

— Daj spokój, Franek — denerwował się Sewilski. — A tośmy wpadli! Tego rodzaju wystawy powinny być ustawowo zakazane! Przecież to jest igranie z ogniem! Nie dosyć tego, że

ogałaczają człowieka podatkami, a tu jeszcze narażają go na takie potworne ryzyko!

— Narzekaniem nic nie poradzimy — odparłem stanowczo. — Tu trzeba działać!

— Masz jakiś pomysł? — z nadzieją w głosie zapytał Sewilski.

Niestety, nie miałem żadnego pomysłu. Ale w chwili, gdy doszliśmy już do wniosku, że stoimy wobec kompletnej i haniebnej klęski, na arenę wkroczył Miecz-Szabliński.

— Słuchając was, od razu się widzi, że nie macie żadnego doświadczenia wojskowego — zawyrokował.

— Co też major mówi! — oburzył się Sewilski. — A kampania włoska? Nie wiem, kto z nas dwóch więcej się nawojował!

— Ja nie mówię o wojowaniu — wyjaśnił major. — To byle rezerwista potrafi. Mnie chodzi o prawdziwe zrozumienie sensu działań wojennych, jakie może mieć tylko oficer zawodowy.

— O co majorowi chodzi? — zapytałem z nadzieją w głosie.

— Nieprzyjaciel naciera — tak? — wyjaśniał major. — Wobec tego co ja robię? Naturalnie kontratakuję. Atak jest najlepszą obroną.

— Dobrze to majorowi mówić! — wybuchnął Sewilski. — Ale jak?

— Powiedźcie żonom, że dzwoniłście do gazowni, czy do firmy, i że przyjdzie do domu przedstawiciel do pomiarzenia wszystkiego i zbadania. Już ja znam takiego faceta, który za pięć funtów odbierze paniom ochotę do centralnego ogrzewania, nie bójcie się!

— Pięć funtów? — zawahał się Sewilski. — A czy to z gwarancją?

— Jasne — powiedział major. — Jeżeli wizyta nie przyniesie wyniku — nie płacicie nic. A tak — po piątku z łebka i butelkę whisky dla mnie. Stoi? Zgodziliśmy się bez wahania.

Żona była wyraźnie zaskoczona, kiedy jej powiedziałem, że w sobotę rano przyjdzie przedstawiciel firmy, aby omówić sprawę instalacji systemu ogrzewania centralnego.

— To bardzo kosztowne — powiedziała, patrząc na mnie z ukosa.

Wzruszyłem lekceważąco ramionami.

— Moja droga, czego ja dla ciebie nie zrobię? Weźmie się na długoterminowe spłaty. Naturalnie, będziemy sobie musieli odmówić wielu rzeczy —

na przykład urlopów — no, i wiele innych spraw odłożyć aż do spłacenia należności za instalację...

— Ależ to będzie jakieś pięć do ośmiu lat, zanim spłacimy — przerwała mi żona, zaniepokojona.

— Dla ciebie jestem gotów się ograniczyć — powiedziałem szlachetnie — chcesz centralnego ogrzewania — będziesz miała centralne ogrzewanie.

Żona nie wyglądała na zbyt zadowoloną z mojej szczodrobliwości, ale nie nie powiedziała.

W sobotę przyszedł znajomy majora. Wyglądał dosyć wiarygodnie na przedstawiciela firmy, z dużym notesem w ręku. Już w przedpokoju zapytał:

— Gdzie jest połączenie domu z siecią gazową?

— Nie wiem. Mamy gaz w kuchni i w łazience — powiedziałem, zupełnie zresztą zgodnie z prawdą.

Zapisał coś w notesie i powiedział:

— Prawdopodobnie będzie to wymagało osobnego podłączenia do sieci. No, w najgorszym razie będzie to państwa kosztować jakieś 50 funtów więcej.

— Pięćdziesiąt funtów? — przeraziła się żona.

— Przy spłatach ratalnych, naturalnie, trochę więcej — wyjaśnił uprzejmie.

Muszę mu oddać sprawiedliwość, że odgrywał swoją rolę świetnie. W bawialni poinformował żonę, że jedyne miejsce na radiator jest na ścianie, przy której stoi obecnie sofa, wobec czego sofę trzeba będzie wysunąć na środek pokoju, aby nie była w kontakcie z radiatorem.

— W przeciwnym razie grozi niebezpieczeństwo pożaru — dodał.

W sypialni sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej. Po zainstalowaniu radiatora trzeba by było ustawić tapczany ukosem do ściany ku drzwiom, pozostawiając zaledwie małą szparkę na przeciśnięcie się przez drzwi. Żona wydawała się coraz mniej szczęśliwa. Na korytarzu okazało się, że radiator wypada w miejscu, gdzie dotąd stała praktycznie niezastąpiona płaska szafka z rzeczami żony. Rzekomy przedstawiciel firmy zakończył swoją wizytę podliczeniem dodatkowych kosztów, spowodowanych rozmaitymi szczególnymi właściwościami naszego domu, z czego wynikało, że musielibyśmy zapłacić z grubsza dwa razy tyle, ile miały pierwotnie wynosić koszty.

— Naturalnie, instalacja zajęłaby jakieś dwa tygodnie — dodał tonem uprzejmego wyjaśnienia. — Ostatecznie, trzeba wywiercić dziury na rury, zamontować radiatory, podłączyć instalację do sieci — to wszystko zajmuje czas. Będzie pani miała trochę bałaga-

nu przez ten czas w domu, ale za to potem — ciepło, jak w uchu.

— No, co, decydujemy się? — zapytałem nonszalancko.

— Najpierw musimy wszystko omówić z mężem — szybko wtrąciła żona.

— Damy panu znać.

Po wyjściu rzekomego przedstawiciela firmy rozpocząłem natarcie w wielkim stylu.

— Bardzo się cieszę, że tak ci na tym zależy, abyśmy zainstalowały centralne ogrzewanie — powiedziałem. — Wprawdzie trochę nas to zarżnie finansowo na jakieś dziesięć lat...

— Zwariowałeś? Za dziesięć lat może mnie już na świecie nie być — naskoczyła na mnie żona. — Mowy nie ma o żadnym centralnym ogrzewaniu! Już ja tam wolę mieć trochę niewygody z piecykami elektrycznymi, czy z naftą, niż rezygnować ze wszystkiego. Nie mam zamiaru żyć tylko dla centralnego ogrzewania!

— Ale pomyśl tylko, jakby to było przyjemnie — kusilem podstępnie: — wychodzisz na korytarz — ta sama temperatura w całym domu...

— Ani mi się waży! — ucięła. — Zadzwoń za kilka dni do firmy i powiedz, że chwilowo nie będziemy instalować ich systemu.

Idąc w poniedziałek do biura, kupilem po drodze butelkę whisky dla majora. Należy mu się! Co za zmysł strategiczny! Coś musi jednak być w tym, co mówię o prawdziwym wyczuciu sensu działań wojennych przez specjalistów. Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło!

MIĘDZY

Obrzydlive, dla polskiego przynajmniej oka, wyglądają mundury wschodnio-niemieckiej „Volksarmee“. Kubek w kubek mundury starego „Wehrmachtu“. Te same plecioni oficerskie na ramionach, „kolumienki“ z epoki starego Fryca na kołnierzach, to samo bogactwo srebra oznak podoficerskich, ten sam gęsi krok z przytupem w marszu i ten sam „Feldgrau“. Brakuje jedynie hitlerowskiej „glapy“ rozpiętej nad kieszenią. Lecz ten brak zastępuje z nawiązką hełm, na odmianę sowieckiego kształtu.

Dziwne wrażenie muszą budzić w czytelnikach warszawskiego „Żołnierza Wolności“ fotografie z manewrów „bratnich“ armii Układu Warszawskiego. Na jednej widzę pruskiego, przepraszam, „niemiecko-republikańsko-demokratycznego“, feldfebla, stojącego w bohaterским rozkroku koło czołgu. W czołgu siedzi jak zapewnia legenda pod fotografią żołnierz „pancernej jednostki Ludowego Wojska Polskiego“. I dalej: „sprzęt polski, obsługa braterska z dwóch zaprzyjaźnionych armii w służbie pokoju“.

Manewry

Przed napaścią na Czechosłowację, w sierpniu ubiegłego roku, odbyły się „manewry“ przeciwlotnicze i bodaj, jeśli mnie pamięć nie myli, kwatremistrzowskie, z udziałem sześćset tysięcy ludzi z Armii Czerwonej i innych, z nią „sprzymierzonych“. Po manifestacjach „hokejowych“ w Pradze odbyły się „manewry wojsk i służb drugiego rzutu“, czyli tak zwanych jednostek tyłowych. O manewrach mówi się z monotonną regularnością ilekroć „wierchowka“ na Kremlu chce zastraszyć Rumunów, Jugosłowian, Węgrów czy kogo tam jeszcze.

Wszystko wskazuje, że „manewry“ stały się głównym lepiszczem trzymającym w kupie i Układ Warszawski i cały blok „demokracji ludowych“ razem z Komeksem i innymi organami „integracji“. Samo gadanie już nie starczy, nawet gdy towarzyszą mu pogroźki, wymyślania i zakuwanie w kajdanki przywódców bratnich „krajów socjalistycznych“. Dowodem spotkanie w Ciernej nad Cisą i dowodem inwazja oraz okupacja Czechosłowacji.

Smutne to, niebezpieczne, oburzające... To prawda. Ale z drugiej strony upraszcza sytuację. Powinno też ułatwić tak zwaną ocenę w umysłach tak zwanych „sowiecologów“. Wyrażenie niegdyś używane i bardzo trafne o „zanieśieniu rewolucji do obcych krajów na ostrzach bagnatów Armii Czerwonej“ wyszło dawno z mody. Nie używają go znawcy (nie wiem z czyjej łaski) „przemian i ewolucji“ dokonujących się w bloku komunistycznym. Nie używają go twórcy imaginowanych „mostów“ między Wschodem i Zachodem. Używają go za to spokojnie i na codzień władcy Kremla i najbliższych okolic, rozciągających się dziś od Łaby i Driny po Kamczatkę i Ussuri.

INSTYTUT LITERACKI SERIA „DOKUMENTY“

LEON MITKIEWICZ

Z GEN. SIKOKRSKIM NA OBCZYŻNIE

(FRAGMENTY WSPOMNIENI)

Str. 398

Cena. 39 sh.; F. 23.00; dol. 5.00

K S I Ę G A R N I A S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA

PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

B.D.I.C

Chińska rzeka i wieńce na grobie Dzierżyńskiego

Marszałek Greczko, minister obrony ZSRR, jest dziś najbardziej aktywną postacią sowieckiego areopagu. Greczko tu, Greczko tam. Greczko kieruje „manewrami“, Greczko zarządza manewry. Greczko w Pradze. Greczko w Berlinie wschodnim. Marszałek Jakubowski, dowódca sił Układu Warszawskiego, powinien zieleńić z zadróści.

Jeśli zieleńieje to mu to nic nie pomoże. Ani jemu ani Układowi Warszawskiemu. Bo skoro „manewry“ stały się głównym środkiem działania politycznego, to dowódca Armii Czerwonej wysuwa się automatycznie na czoło polityków. Czyżby nareszcie wyrósł w Rosji prawdziwy „Bonaparte“ komunizmu? A choćby tylko Suworow?

Greczko zawezwał sobie do Berlina towarzysza Gomulkę. Oczywiście, za pośrednictwem uczynnego pruskiego „Regierungspresidenta“ nazwiskiem Ulbricht. Porozmawiali ze sobą przez cztery godziny. I oto rezultat: generalicja Polski Ludowej jedzie na łeb na szyję z „wizytą przyjaźni“ do Moskwy. Jedzie Jaruzelski, jedzie Korczyński, jedzie oberpolitruk Urbanowicz. Jedzie ich razem dwunastu. Składają służbiście ową „wizytę przyjaźni“. I rozmawiają z Greczką. Rozmawiają? No cóż, służbiście „tak jest“ w odpowiedzi na wydany rozkaz połączony z zasłużonym lub tylko profilaktycznym „OPR“ można także tazwać „rozmową“.

„Naczelstwo“ polskie składa wieńce. Na grobie Rodiona Malinowskiego, na grobie „Kostii“ Rokossowskiego. I na grobie Dzierżyńskiego. Całowanie butów, towarzysze generałowie, całowanie butów. Powiadacie: „kazali...“ Naturalnie, że kazali. „Służba nie druźba“? Na pewno nie druźba, gdy się służy pod Greczką.

Ale zawsze wstyd. O waszym wieńcu pod twórcą Czerezwyczajki napisała „Prawda“ i „Izwestia“ i „Krasnaya Zwiezda“. I opowiadało radio Moskwa. Radio Warszawa wolało o tym wydarzeniu nie wspominać. Są rzeczy o których się nie mówi nawet w podłym towarzystwie.

Aha, ta rzeka Ussuri... Czyżby i tam trzeba było trzymać straż w obronie pokoju sprzężonego z „socjalizmem“. Kto wie. Jeli żołnierz polski musiał ją trzymać pod Hradec Kralove to może i nad Ussuri. Co na to postanowienia „Układu Warszawskiego“? Nie wiemy. Ale wszystko da się załatwić. Wystarczy by Mongolia (nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego „Zewnętrzna“) zgłosiła braterski akces do Układu Warszawskiego.

Hostinec u Kalicha

Podobno w Gospodzie pod Kielichem, na Staromiejskiej Stronie w Pradze, zjawił się duch Szwejka i zamówił sobie piwo. Stało się to o godzinie, gdy na Wacławskim Naměstí pojawił się napis: „Narodil se nam Rusák, nazwa se Husák“.

Wynikało by z tego, że naród czeski nie doczekawszy się nowego Jerzego z Podiebrad znowu się musi zamknąć w sobie i walczyć sposobami, na które nie ma sposobu. Sposoby te nazywają się „Švejkovina“, czyli „Szwejkowanie“. Myli się kto sądzi, że jest to sposób gorszy od walki na barykadach. Błąd ten popelniają także Polacy, Czechów bracia najbliżsi i najgorzej o ich psychice, historii i charakterze narodowym poinformowani. „Szwejkowanie“ to nie łatwy sposób walki. Lecz bardzo skuteczny. Wymaga cierpliwości. I oczywiście zmysłu humoru. Bardzo specjalnego zmysłu humoru. Bo nie wolno go zaprawiać ani goryczą ani wisielczym „jakoś to będzie“. Ten humor wymaga życia na dwóch płaszczyznach, lecz tylko jednej płaszczyzny myślenia. Wymaga wierności jednej tylko myśli. Tej samej, którą naród czeski żył przez stulecia i dzięki której przetrwał. Myśl ta ożywia pisarzy, filozofów, rzemieślników, studentów i robotników. Wypowiedział ją kiedyś Jan Hus, powtórzył ją Jan Amos Komensky, przypomniał Tomasz Alma Matusaryk, i mruczy ją nad piórem dzielny wojak Szwejk.

Powtórzmy ją i my, na intencję Czechów:

— „Pravda Zvitezi“ —

* * *

Esseje, Rozyny i Homeopaci

Gdyby nie było pewnego gatunku pisarzy czy dziennikarzy należało by go wymyślić, wynaleźć, stworzyć. Chociażby metodą syntetyczną.

Cóżby zrobiła polska prasa emigracyjna gdyby nie lekarz o ewangelicznym nieomal zacięciu przekazywania nauk, prawd i pouczeń z każdej dziedziny, o każdej porze i na każdych łamach? Nie wiedzieliśmy nic, niczego nie mogliśmy się nauczyć, po prostu chodzilibyśmy po omacku.

Trafiają się co prawda w moim zawodzie ludzie co piszą pracowicie, zastanawiają się nad każdym słowem, uczą się, szukają, sprawdzają. I wreszcie z trwogą w sercu płodzą artykuł, z trwogą w sercu zanoszą go do redakcji i z trwogą w sercu czytają go w druku, by sobie powiedzieć już po wydrukowaniu, „trzeba było jeszcze trochę przeczytać, jeszcze trochę pomyśleć“.

Tym sposobem daleko się nie ujedzie. Nie byłoby czym zapelnąć łamów gazetowych.

Na szczęście są ludzie, którzy ratują nasz ruch wydawniczy, bo potrafią pisać szybciej niż czytają. I mniej ich to męczy.

O błogosławieni, o zasłużeni, o nieustraszeni.

O, chciało by się zawołać, niezłomni.

Powiedziano jednemu (z dostojnych dziś urzędem moich kolegów po piórze), że najlepiej pisze eseje. Wiem, bo sam się do tego przyznał w druku. Wyczuł, że jest

to podstępna próba odciążenia go od pisania artykułów politycznych czy gospodarczych. Nie dał się zwieść z raz obranej drogi wszechstronności. Nie zaprzeczył oczywistej prawdzie, że jest mistrzem esaju, lecz dla niepoznaki, napisał, że miał do napisania, eseju nie napisał.

Trudne to sprawy. Trudne i wzniosłe. Na szczęście dowiedziawszy się kim są homeopaci, można dla odprężenia poczytać sobie Wacława Zbyszewskiego. Przyjemnie się czyta i nie obciąża pamięci.

O czym jeszcze?

O czym jeszcze napisać? O dzieciach, bawiących się w ogrodzie? O zmęczeniu i jak mu zapobiec? O budżecie Jenkinsa? O kapuście i okrętach?

Można pisać o wszystkim. Nie dlatego, że papier jest cierpliwy lecz dlatego, że każdego stać na atrament.

Można, ale czy trzeba?

Nie wiem. Za mądre to pytanie dla mnie. Więc tylko kilka słów o maju. O miesiącu. Nie o pierwszym maju, nie o trzecim maja, lecz o wszystkich dniach maja.

Temat stary. Napisano o tym najpiękniejszym na naszej szerokości geograficznej miesiącu tyle, że już chyba trudno coś wymyśleć. Miesiąc nadziei, miesiąc miłości, miesiąc zielony.

Nad rzeką Lutynią w jarocińskim powiecie, nie było młyna choć o tym zapewnia Iwaszkiewicz, lecz rosły karczence. A na wzgórzu piaszczystym, przy drodze ze Słupi do Książęcej Woli stała figura Matki Boskiej. Może jeszcze stoi?

I może dziewczęta śpiewają pod wieczór, gdy jest cicho i spokojnie, a głos niesie aż po Witaszyce: „Chwalcie łąki umajone...“

Może.

J. P. H.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

STANISŁAW WYGODZKI

ZATRZYMANY DO WYJAŚNIENIA

Powieść-dokument obrazujący rzeczywistość Polski Ludowej przed październikiem 1956, która obecnie nabiera ponurej aktualności.

Stron 208

Cena: 30sh. 16.50 F. 3.75 dol.

Księgarnia S.P.K.

20, Queens Gate, Terrace,
LONDON, S.W.7.

Nowy żywot „Mercuriusza Polskiego“

Marcowy numer czasopisma Mercuriusz Polski — Życie Akademickie ma nr 3. Dwa poprzednie (po wznowieniu) wyszły w lipcu i listopadzie 1968 roku. Przedtem była... dwuletnia przerwa. Ale Mercuriusz ukazując się w nowym formacie i pod nowym kierownictwem redakcyjnym zaznaczył, że zaczyna 19 rok wydawnictwa. Świadczy to, że ten „organ studiującej młodzieży na uchodźstwie“, jak go określili ówczesny prezes Zrzeszenia Studentów, p. A. Rynkiewicz — przechodził trudne koleje, że jest potrzebny, a skoro nie zniknął jak tyle innych pism emigracyjnych — to oddając ukłon w stronę wytrwałych wydawców i młodzieży wolno wyrazić życzenie i nadzieję, że epoka kryzysów się skończyła i Mercuriusz, choć wydawany w Londynie, pokona trudności i stanie się wyrazem myśli i dążeń studentów polskich w wolnym świecie.

Dwa pierwsze numery podpisała jako redaktor naczelny Jadwiga Mandziara, ostatni Wiktor Moszczyński, pióro młode, ale już znane. Jako wydawca występuje Wojciech Płazak i na nich dwóch kończy się świat męski. Wszystkie inne funkcje w „kole redakcyjnym“, wśród wymienionych z nazwiska kolporterów, ilustratorów — sprawują studentki.

Co można powiedzieć o wznowionym Mercuriuszu „na pierwszy rzut oka“? Wśród nazwisk zespołu redakcyjnego i piszących sporo znamy z „poprzedniego wydania“. To rodzice, znani z działalności społecznej na obczyźnie. Przystawione jabłka nie padły więc daleko od jabłoni... Widoczne są chwalebne starania o wzbogacenie treści pisma i ulepszenia formy obok sprawozdania i uchwał z ważnego Zjazdu są artykuły ideowo-programowe, wywiady, kronika z życia kół, felietony, recenzje, ciekawostki i wiersze.

Redakcja stara się — pisze o tym w artykule wstępny „naczelny“ Moszczyński — aby Mercuriusz będąc organem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów zdobył sobie jednak także własną pozycję wśród młodych, z których nie wszyscy, nawet zachowujący patriotyczną postawę chętnie „na codzień“ czytają po polsku i piszą. I dlatego Mercuriusz „musi wykształcić swoje własne surowe czytelnictwo i utrzymać je“.

Trzy pierwsze numery wznowionego Mercuriusza nie stanowią całości i nie można na ich podstawie mówić o wyraznym „obliczu“ pisma. Z przeglądu treści artykułów, które można określić jako światopoglądowe, wynika że te same sprawy nurtują zarówno młode jak starsze pokolenie (najazd Czechosłowacji, sytuacja Kościoła w Polsce, rozuchy młodzieży, antysemityzm) a ocena ich jest podobna. Młodzi mają naturalnie swój punkt widzenia na takie zagadnienia jak stosunek do niedawnej przeszłości w Polsce i na emigracji i na to co się dzieje w życiu studentkim w Wielkiej Brytanii i na kontynencie, piszą o tym szczerze i otwarcie a że czasem zabrzmi tam nuta szderstwa czy ironii to już trzeba złożyć na karb obrazoburczych tendencji właściwych każdemu młodemu pokoleniu.

L.B.

Książki nadesłane

Kazimierz Wierzyński, SEN MARA, poezje, str. 122, Instytut Literacki, Paryż, 1969.

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE, Dokumentów marcowych t. II, — Czechosłowacja, str. 157, Instytut Literacki, Paryż, 1969.

Stefan Mękarski, 150 LAT OSSOLI-NEUM, nadbitka z tomu „Teki histo-

ryczne“, Londyn 1966-1969. Odczyt wygłoszony w Londynie na zebraniu Pol. Twa Hist. w W. Brytanii i Pol. Twa Naukowego na Obczyźnie 23.2.1968.

Bohdan Jeżewski, POLSKI LONDYN, Polish Guide to London, Taurus Reference Books, 1969. Nowe siódme wydanie popularnego przewodnika po Londynie.

PRZEMIANY, dwumiesięcznik, maj-czerwiec, nr. 9, Rzym 1969. Przynosi m.in. W. Wasiutynski. Ustrój kościoła; A. Woźnicki: Ruchy migracyjne w chrześcijaństwie; R. Brandstaetter: Gody weselne w Kanie Galilejskiej; J. M. Święcicki: Humor i tragizm — dwa oblicza rzeczywistości; J. Milik: Zagadka Gierlanda. Również artykuły dyskusyjne i kronikę wydarzeń.

DUSZPASTERZ POLSKI ZAGRANICĄ, nr. 3, maj-czerwiec, Rzym, 1969. W treści m.in. Przemówienie Ojca św. do Kolegium Kardynalskiego; Społeczna krucjata miłości. Akcja duszpasterska; Instrukcja o kulcie Eucharystii cz. III; Przechowanie Eucharystii i cześć jej oddawana; Związek pomszalnego kultu Eucharystycznego z Mszą św.; Polacy nie zrobili nic.

TEMATY, nr. 28, Nowy Jork—Londyn, zima 1968, przynosi następujące prace: J. Lichten: * * * E. L. Fackenheim: Judaizm i znaczenie życia; H. Jonas: Żydowskie i chrześcijańskie pierwiastki w tradycji filozoficznej Zachodu; D. Bell: Refleksje o poczuciu tożsamości; A. Hertzberg: Kościół, państwo i Żydzi; M. Himmelfarb: Żydów doświadczenia i przypadki; E. B. Borowitz: Teologia kryzysu i gmina żydowska; N. Podhoretz: Młodzi intelektualni a żydowskość; E. Hoagland: Nie będąc Żydem; D.H. Wrong: Żydzi nie-Żydzi i nowy establishment; R. Alter: Izrael i intelektualni; A. Hertzberg: Izrael i amerykańscy Żydzi; N. Podhoretz: Hannah Arendt o Eichmannie; A. Kazin: Żyd jako nowoczesny pisarz amerykański; P. Roth: Pisanie o Żydach; R. Alter: Żydowskie sny i koszmary. Str. 304.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

LISTY DO REDAKCJI (c. d.)

go. Możliwość rozkoszowania się klasycznym heksametrem, oddającym myśl i uczucie jasnym, zrozumiałym, dobitnym, nieraz dzumiewającym właściwym, nieraz jakby z nieba zesłanym i tęsknie oczekiwanym słowem budzi we mnie potrzebę wyrażenia głębokiego podziwu i podzielenia się nim z czytelnikami.

Dla tych, którym modna poezja nie zastępuje geniuszu Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego, wiersz Wieniewskiego będzie błogosławionym urzmaiczeniem szarzyzny codziennej lektury. Jak się udało tłumaczowi transfiguracja oryginału, osądzą powołani po temu. Że „Bój żabiomyśli” spowodował transfigurację mojej depresji w pogodny nastrój, doświadczyłem tego niezbitcie.

London Fryderyk Goldschlag

ILU JEST PROKURATORÓW W POLSCE?

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule moim pt. „Rocznik statystyczny 1968” (kwietniowy numer „Orla Białego”) zakradł się przykry błąd, a mianowicie wydrukowano liczbę obecnie zatrudnionych prokuratorów w Polsce jako „1776”, podczas gdy powinno być „2776”.

Sprostowanie jest tym bardziej wskazane, że dalej piszę, iż obecnie jest faktycznie 10-cioкратно więcej prokuratorów niż było przed wojną, a z zestawienia wydrukowanych cyfr wynika, że jest raczej 5-cioкратно więcej.

Łączę wyrazy poważania i szacunku
London A. Słamborowski

GRENADIERZY

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Orle Białym” (Nr 57/1204 z kwietnia 1969 roku) w rozdziale „Z życia polskiego” ukazała się informacja o Zebraniu Grenadierów w Roubaix, na którym to zebraniu poruszano również sprawę odbytego w roku 1968 zlotu Grenadierów w Lense.

Autor tej notatki popelnia zasadnicze błędy. Na terenie Wielkiej Brytanii istnieje Związek Polskich Grenadierów o charakterze ogólnoswiatowym, którego prezesem jest w tej chwili dr P. Niekraszewicz. W hierarchii organizacyjnej Związku Grenadierów stoi on wyżej od prezesa Koła SPK Nr 119 — Grenadier, który, jak wiem, tego Koła na zlocie w Lense nie reprezentował, natomiast kolega Domański był we Francji jako członek zarządu Związku Grenadierów. Dlaczego więc nazwisko naszego prezesa dr P. Niekraszewicza zostało w sprawozdaniu pominięte natomiast wymienione zostało nazwisko członka zarządu — nie rozumiem.

Również za niestosowne uważam pominięcie nazwisk innych trzech kolegów z Londynu, a mianowicie: M. Brzozowski-

go, J. Gwoździa i W. Nowaka, którzy solidaryzując się z potrzebą i specjalnymi celami zlotu w Lense — na własny koszt pojechali do Francji. Zwykła grzeczność i gościnność nakazywały umieszczenie ich nazwisk w sprawozdaniu.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku

London

O. Dunin-Borkowski
Grenadier

JAK NALEŻY ODPOWIADAĆ?

W ankiecie KOŁA STUDIÓW SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH zamieszczonej w nrze 57 „Orla Białego” w zdaniu: Na poszczególne pytania należy odpowiadać „tak” albo „nie wiem” wkradła się pomylka. Zdanie to powinno brzmieć: Na poszczególne pytania należy odpowiadać „tak” albo „nie” albo „nie wiem”. Prześnamy organizatorów ankiety.

Ś. † P.

HENRYK PIĄTKOWSKI

GENERAŁ BRYGADY

b. szef sztabu 3 DSK w bitwie pod Monte Cassino, b. dowódca 5. Wileńskiej Brygady Piechoty, b. zastępca szefa sztabu naczelnego wodza, kawaler orderu Virtuti Militari kl. V i IV, członek założyciel i pierwszy przewodniczący Rady Głównej SPK zmarł 1 kwietnia 1969 w polskim szpitalu w Penley i został pochowany 10. IV. na cmentarzu South Ealing w Londynie.

Zarząd Federacji Światowej S.P.K.

K R Z Y Ż Ó W K A N r 615/69

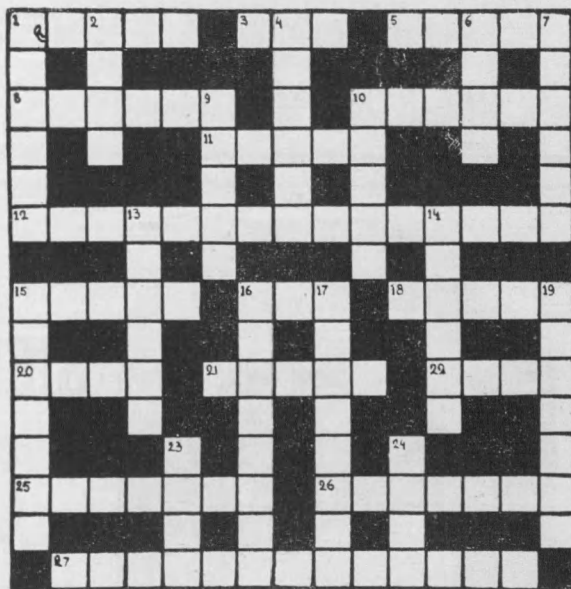
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) plotka (wspak); 3) i 16) takie jak osły; 5) przemieniona w drzewo laurowe (wspak); 8) siedziba prymasa Hiszpanii; 10) środek transportowy; 11) bardzo wysokie tony?; 12) poemat polski, który w sobie mieści utwór włoski; 15) i 18) organizacja dla walki z herezją; 20) przygotowujesz go na zimę; 21) nazwisko panieńskie; 22) zwolnienia (wspak); 25) rozejście się, wygląda jakby rodzinne?; 26) dział medycyny; 27) planowa tułaczka.

Pionowe: 1) zamieniony w jelenia; 2) cząstka zła czy dobra?; 4) nieprzyjemnie pod nią; 6) muzyczna ucieczka; 7) znak stosunku lennego; 9) rodzaj futra; 10) partner Laury; 13) prawie wytępił je Indianie; 14) Furie; 15) najwybitniejszym z nich był Pan Michał (wspak); 16) bez niego nie ma gazety; 17) „Jesteśmy Nocy czarnej straszne, groźne córy; Kłatwami zwą nas w naszej podziemnej ojczyźnie”; 19) miał syna złożyć w ofierze; 23) władca; 24) dawna kara dla czarownicy.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 614/69

Poziome: 2) Jan z Dukli, 6) i 8) lecz-



nica, 7) Pieta, 9) moźól, 10) uczta, 11) Filon, 12) kozak, 14) Na Anioł Pański, 19) obok, 20) mapa, 21) kręta, 22) i 23) brewerie, 24) zrzęda, 25) fujara.

Pionowe: 1) Alleluja, 2) jezuita, 3) dreszcz, 4) pisanki (wspak), 5) frasunek, 12) kwitek, 13) kraska, 14) zabobon (wspak), 15) alkierz, 16) łazęga, 17) Samaria, 18) impreza.

POMÓŻ KACETOWCOM W KRAJU!

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

- Tom I cz. 1* — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. 30s
- Tom I cz. 2* — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września. 42/6
- Tom I cz. 3* — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeci kampanii, 9—14 września. 50s
- Tom I cz. 5* — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża. 30s
- Tom II cz. 1* — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941. 35s
- Tom III* — Armia Krajowa. 52/6



Gryf Publications Ltd

SIENKIEWICZ ŻYWY

16 rozpraw naświetlających
żywo i wszechstronnie
sylwetkę najpopularniejszego
z pisarzy polskich

Cena: 30 sh.

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1969

Kazimierz Wierzyński

SEN MARA

Poezje

Cena: sh. 18/6; F. 11.00; dol. 2.40

Księgarnia S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

INSTYTUT LITERACKI

SERIA DOKUMENTY

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE dokumentów marcowych t. II

CZECHOSŁOWACJA

Cena: sh. 25/6; F. 15.00; dol. 3.75

Księgarnia S. P. K.

LONDON, S.W. 7.

20, Queens Gate Terrace,

**BIBLIOTEKA
„KULTURY“**

Kazimierz Wierzyński

CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Cena: 12 sh., 1.75 dol. 7.00 f.

KSIĘGARNIA S. P. K.

LONDON, S.W. 7.

20, QUEENS GATE TERRACE,

Czytaj książkę polską